

Pisarstwo przyszło, gdy w moim życiu było dużo smutku



Z. Bogumiła
Skomoroko -
słupską poetką
i malarką,
rozmawia Jolanta
Betkowska



- Pani Bogumiło, jak zaczęło się u pani pisanie? Od wiersza, opowiadania, a może innej formy? Co skłoniło panią do tworzenia?

- Moje tzw. „pisanie” ujawniło się już w latach licealnych - szerokie, rozbudowane wypracowania na temat lektur, łatwość formułowania myśli i wypowiedzania się były wynikiem moich zainteresowań książką i poezją. Później, moim dzieciom układałam proste wierszyki, opowiadałam zmyślane historie; rozwijałam ich wyobraźnię i sprawiało mi to dużą przyjemność. O pisaniu „na poważnie” nie myślałam, bo zbyt absorbowały mnie obowiązki zawodowe i dom. Brakowało mi przestrzeni na rozwijanie swoich zainteresowań, przede wszystkim malarstwa. Dopiero na emeryturze pozwoliłam sobie na realizację ukrytych marzeń. Pisarstwo przyszło wtedy, gdy w moim życiu było dużo smutku - choroba i śmierć męża, samotne (z wyboru) wieczory. Zapisywałam wtedy swoje myśli, niespełnione pragnienia, wspomnienia, te dobre i te „bez pudru”. Był to równocześnie rodzaj terapii - bardzo mi wtedy potrzebnej. Wieczorami, słuchając muzyki, czytając lub malując, przerywałam to nagle, by na kartkach zapisać coś, co mnie szczególnie poruszyło, wywołało wspomnienie. Myśli same układały się w strofy i tak powstawały proste, zwyczajne, refleksyjne wiersze.

- Co jest inspiracją dla pani twórczości?

- Oprócz sytuacji życiowej, o której mówiłam, myślę, że duży wpływ na tematykę moich wierszy miała i ma przyroda, jej piękno o każdej porze roku. Piękno, na które w codziennym zabieganiu nie zwracamy uwagi. Świeża zieleń drzew za oknem albo złoto opadających liści, deszcz grający na parapecie - wywołują skojarzenia, które od razu muszą przelać na papier. Inspiruje mnie życie, ludzie których spotykam i przede wszystkim przyroda, morze, o którym mogę nieskończenie... Być może też, charakter mojej pracy w szkolnictwie, potem w poradni psychologicznej, kontakt z problemami dzieci, młodzieży i dorosłych oraz pomoc terapeutyczna w wielu ich

Jan Stanisław Smalewski

STAJENKA

*Już niedługo jeszcze parę godzin
i się dzieciątko w stajence narodzi
Na razie mu miejsca szuka matka Maryja
nigdzie go nie chcą Jest stajenka niczyja*

*Jest ciepła stajenka żłobek a w nim siano
Święty Józef wymości posłanie małemu
zdejmie kozuch barani ułoży na sianie
każde chuchać owieczkom opatuli matkę*

*Już wszystko gotowe na przyjęcie dzieciątka
nawet się zwierzęta zbiegły przed stajenką
chłód rozpalil gwiazdy zrobiło się jasno
gwiazda betlejemaska zabłyśta na niebie*

*Przeżyjmy raz jeszcze takie narodziny
gdy świat zziębnięty oczekuje dzieciny
choć jej nie chcą wielcy władcy tego świata
bo im zagrozi wielkością na lata*

*Na całe wieki król nad wszystkie króle
zamieszka teraz by zbawiać narody
w małej stajence wśród piasków pustyni
Rozda chleb i ryby przemieni wino - z wody*

20.12.2018

życiowych sytuacjach, wpłynęły potem na charakter mojej twórczości.

- Gdyby miała pani wskazać książki, które wywarły na panią wpływ, to jakich autorów, tytuły by pani wymieniła?

- W moim rodzinnym domu zawsze były książki. Lubiłam czytać, od najmłodszych lat wypożyczałam też książki z biblioteki - najpierw bajki, potem takich autorów, jak: Balzak, Krasiński, Sienkiewicz, Prus, Tołstoj, Remarque. Wychowałam się na Mickiewiczu, Słowackim i poetach Młodej Polski. Poruszały mnie wiersze Baczyńskiego, Poświatowskiej, Szymborskiej. Do dziś pamiętam ulubiony wiersz „Loreley” Apollinaire’a czy fragment „Iliady” Homera (Pożegnanie Hektora z Andromachą), ale też często przypominam na spotkaniach fragment z „Poematu o mowie polskiej” Mieczysława Jastruna. Wiele z tych wierszy prezentowałam na konkursach recytatorskich. Notabene, oprócz nagród i wyróżnień mam w dorobku I nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Krasomówczym im. Klemesiewicza za napisany i wygłoszony odczyt „O kształtowaniu mowy ojczystej wśród dzieci i młodzieży”.

- Jak niemal wszyscy mieszkańcy Słupska, jest pani przybyszem. Czy może pani zdradzić, jakie miejsce zajmuje w pani twórczości dom rodzinny, a potem Słupsk i jego okolice?

- Zawsze czekałam na chwile wspomnień moich rodziców o Kresach (skąd pochodzę), o ich dzieciństwie, tradycjach - szczególnie świątecznych. Była nas w domu liczna gromadka: dziadkowie, rodzice i nas siedmioro. Ja jestem czwarta z kolei. Pozostałych troje moich rodzeństwa urodziło się już tu - na Ziemiach Zachodnich. W Słupsku mieszkam od 1961 roku. Lubię to miasto i moją rzekę za oknem, „na wyciągnięcie ręki”, krzyk mew i bliskość morza. Bałtyk, nadmorskie klify w Poddębium, zmieniający się koloryt nieba. To wszystko jest również inspiracją do wciąż powracającego tematu morskiego.

- Piszecie pani wiersze o m.in. Paryżu, a także opowiadania i relacje z podróży. Jak umiejscowiłaby pani siebie w świecie, tym bliższym i tym dalszym?

- Od pewnego czasu zapisuję swoje wrażenia z podróży. Największe zrobiły na mnie kilkakrotne pobyty w Paryżu. Dałam temu wyraz nie tylko w wierszach „Koncert Chopina w Paryżu”, „Paryski poranek”, „Père Lachaise”, „Wieczór w Paryżu”, ale też w relacji - opowiadaniu zamieszczonym w Powieści Słupskim. Być może opiszę dzisiejszy Paryż - bo od kilku lat wiele się w nim zmieniło. To nie jest już to miejsce z przepięknymi koronkowymi balkonami, Polami Elizejskimi, Polem Marsowym pod wieżą Eiffla i ulicami pełnymi spieszącymi, pogodnymi ludźmi. Napływ imigrantów zmienił nieco charakter miasta i daje się to nie tylko dostrzec, ale i poczuć. Jeszcze parę lat temu, chodząc ulicami tego „miasta światła”, czułam się jego częścią. Na cmentarzu Père Lachaise ze wzruszeniem rozpoznawałam groby pisarzy i poetów - tego dawnego, starego świata, znanego mi z książek i albumów. I ten skromny, z biało-czerwonymi goździkami dla naszego Fryderyka.

Świat się zmienia - to naturalna kolej rzeczy, ale to już nie jest rzeczywistość dla mnie oczywista. Za dużo chaosu, cierpienia, wędrowki ludów, fałszywej retoryki, pogoni za mamoną i stanowiskami. Dlatego w moich wierszach przewija się często emocjonalny zapis życia i przemijania, tego „złodzieja bytów”, który okrada nas z wrażliwości na drugiego człowieka, żongluje uczuciami i losami, czasami nagradza i daje nadzieję, ale też i ją odbiera. Tomik „Dotyk” kończę jednak optymistycznie, że „za wcześniej na rezygnację z marzeń...”

- Zebrane w „Dotyku” wiersze powstały, jak to pani ujęła, z chwil zatrzymania w wędrowce przez życie...

- Po to właśnie „zatrzymałam się przez chwilę” w swojej wędrowce przez życie, żeby tym, którzy są wokół mnie i po mnie nastaną, przekazać, może nieudolnie, że „czas pędzi z nami bez wytchnienia” i trzeba przystanąć, rozejrzeć się i zobaczyć innych z ich troskami i radościami, docenić dar tego wielkiego „architekta przyrody” - jej piękno w każdej porze roku i życie, które zbyt szybko przemija. Dlatego piszę i maluję.

- Pani tomik zawiera nie tylko poezję, ale i pani malarstwo. Obie pasje wydają się równorzędne...

- Zawarte w „Dotyku” wiersze ozdobiłam zdjęciami swoich obrazów, bo malarstwo jest od dawna moją pasją, obecnie na równi ważne z pisarstwem. Piszę i maluję, inspirując się nie tylko przyrodą nadmorskiego krajobrazu, ale też dziełami wielkich mistrzów, m.in. Rembrandta, Szyszkina, Vermeera, Turnera i innych, a przede wszystkim impresjonistów, których obrazy podziwiałam w paryskim muzeum Orsay i Luwrze.

- Czym jest dla pani malarstwo?

- Maluję pejzaże - miejsca, które lubię, szczególnie te, do których jeżdżę na plenery. Są to na ogół nadmorskie Rowy, Poddąbie, Ustka, Smołdzino, a także Sominy, Swołowo i inne. Moje obrazy uczestniczą w wystawach organizowanych przez Stowarzyszenie „Obszar Wrażliwości Artystycznej”, na terenie miasta i powiatu. Miałam też indywidualne wystawy: w siedzibie ZNP, w SOK-u, Starostwie Powiatowym, restauracji Anna de Croy, Białym Domu. Nagrody i wyróżnienia. Szczęśliwe i miłe chwile, które motywują i inspirują nie tylko do doskonalenia warsztatu, ale też spełniania pasji, które drzemały we mnie od dzieciństwa i teraz - właściwie u schyłku życia - dają mi siłę i satysfakcję. Że go nie zmarnowałam. „... Jako że nie ma nic/ cenniejszego niż czas, / przeto starać się trzeba/ by darmo nie upłynął/ a pozostawił po sobie rzeczy trwałe...”

- Publikuje pani w Powieści Słupskim. Jak to ma dla pani znaczenie?

- Ważnym dla mnie okresem są ostatnie lata, kiedy związałam się z grupą „Wtorkowe Spotkania Literackie” przy słupskim starostwie. Kontakt z poetami z różnych stron naszego regionu jest ciekawym doświadczeniem dla mnie, piszącej od niedawna, bo uczy, wzbogaca i zaciekawia. W dodatku literackim dwumiesięczniku Powiat Słupski drukowane są wiersze i opowiadania moich koleżanek i kolegów, kilkakrotnie również moje. Czuję wtedy nie tylko satysfakcję, ale też świadomość, iż redaktor Zbigniew Babiarz-Zych uznał, że można pokazać moją twórczość światu - jest to dla mnie ważne.

- Jakie są pani plany twórcze?

- Publikacje moich utworów zachęcają mnie do dalszych poszukiwań, więc piszę i mam nadzieję, że uda mi się wydać następny tomik moich wierszy i opowiadań. Nie ten fakt jest jednak dla mnie najważniejszy. Ważne, inspirujące i wzruszające są dla mnie spotkania z czytelnikami i słuchaczami wierszy - i tych z wydanego w 2018 roku tomiku „Dotyk”, i tych najnowszych, jeszcze nie opublikowanych. Lubię ludzi, lubię ich słuchać i dlatego m.in. dla nich teraz piszę.

- Co chciałaby pani przekazać młodym twórcom?

- Bardzo inspirujące były dla mnie spotkania z młodzieżą Szkoły Podstawowej we Wrześcu: wywiad, rozmowy na temat warsztatu, wiersze i obrazy. Z przyjemnością wysłuchałam też swoich wierszy przygotowanych i wygłoszonych przez grupę uczniów z klasy siódmej i ósmej. Mam nadzieję, że w jakimś stopniu przyczyniłam się do zachęcenia młodych ludzi do sięgnięcia po pióro, by zapisywali swoje myśli, tworzyli coś dla siebie i swoją wrażliwość wyrażali w każdej formie ekspresji twórczej.

**Jolanta Betkowska
Słupsk**

Olga Tokarczuk

- „Prawiek i inne czasy”

„Prawiek i inne czasy” - te inne czasy są miarą kolejnych części książki. Czas Izydora, czas Misi, ale też czas sadu, czas Florentynki, czas Matki Boskiej Jeszkotłowskiej... Olga Tokarczuk snuje swoją opowieść, a czytelnik, wiedziony jej pewną ręką, coraz bardziej zagłębia się w na póły realistyczny, a na póły mityczny świat wsi, która leży „w środku wszechświata”



Pewnego dnia, kilkanaście lat temu, Olga Tokarczuk umówiła się z koleżanką w krakowskiej kawiarni. Usiadły przy stoliku i w pewnej chwili, jak wspomina pisarka, „zauważyłam ukrywane z trudem poruszenie. Okazało się, że gdzieś w kącie siedzi pani Wisława i rozmawia z kimś bliskim. Wszyscy udawaliśmy, że jej nie widzimy, żeby sprawić jej komfort, żeby jej nie niepokoić. Kiedy zamówiłam kawę i zaczęłam ją pić, wtedy nagle ktoś podszedł do mnie z tyłu, dotknął mnie w ramię. Odwróciła się zdziwiona i wtedy okazało się, że to jest Wisława Szymborska i ona mówi do mnie tak: Pani Olgo, przepraszam, ja się nazywam Wisława Szymborska. Nie chcę pani przeszkadzać. Chciałam tylko pani powiedzieć, że uwielbiam pani Prawiek”.

„Prawiek i inne czasy” to trzecia powieść Olgi Tokarczuk, wydana w roku 1996. W tym samym roku Nagrodę Nobla otrzymała Wisława Szymborska. Jakże symboliczne wydaje się to przelotne spotkanie dwóch pisarek, obecnej wówczas i przyszłej noblistki, z opowieścią o Prawieku w tle.

Prawiek z powieści Tokarczuk to nazwa wsi, wsi mitycznej, nieistniejącej na mapie. Można jednak określić, gdzie leży Prawiek. Wiemy to już z pierwszego zdania książki: „Prawiek jest miejscem, które leży w środku wszechświata”. Wiemy też, jak rozległa jest wieś, bo czytamy dalej: „Gdyby przejść szybkim krokiem Prawiek z północy na południe, zabraloby to godzinę. I tak samo ze wschodu na zachód. A jeśli by kto chciał obejść Prawiek naokoło, wolnym krokiem, przyglądając się wszystkiemu dokładnie i z namysłem - zajmie mu to cały dzień. Od rana do wieczora”. Wydawałoby się, że jest to wieś zawieszona w przestrzeni i czasie, zgodnie ze swoją symboliczną nazwą, wieś nierzeczywista, określona

pojęciami: środek, wszechświat, północ, południe, wschód, zachód, godzina, dzień. Jednak, gdy czytamy dalej, dowiadujemy się zaskakująco szczegółowych konkretności: „na północy granicą Prawieku jest droga z Taszowa do Kielc”. Kielce znamy, więc wyobrażona w umyśle czytelnika mapa zaczyna jednak wydawać się rzeczywista. „Na południu granicę wyznacza miasteczko Jeszkotle”, czytamy, „zachodnią granicą Prawieku są nadrzeczne, wilgotne łąki, trochę lasu i pałac”, a dalej dowiadujemy się, że ostatnią, wschodnią granicę wsi wyznacza „rzeka Białka, która

oddziela jego grunty od gruntów Taszowa”.

Wiemy też, że przez środek wsi prowadzi Gościniec, a pod młynem z rzeką Białką łączy się płynąca od północnego zachodu ku południu rzeka Czarna, która każdego roku wylewa. Wydaje się zatem, że możemy sobie tę wieś już dokładnie wyobrazić. Nie jest jednak chyba w pełni możliwe, gdyż nie wydaje się, tak jak przypuszczaliśmy, by była to zwykła wieś. Granic Prawieku strzegą bowiem aniołowie. Północną granicą, tą przy ruchliwej i niebezpiecznej drodze, opiekuje się archanioł Rafał. Od strony miasteczka Jeszkotle, które jest „groźne, ponieważ rodzi pragnienie posiadania i bycia posiadany”, granicy strzeże archanioł Gabriel. Archanioł Michał stoi na straży granicy zachodniej, której niebezpieczeństwem jest popadnięcie w pychę (jeden koń z pałacowej stadniny kosztuje tyle co cały Prawiek). Niebezpieczeństwem zaś wschodniej granicy jest „głupota, która bierze się z chęci mędrkowania”; tej granicy strzeże archanioł Uriel.

Co może wydarzyć się we wsi, która leży gdzieś niedaleko Kielc, ale właściwie to nie wiadomo gdzie? Jej granice wydają się rzeczywiste, ale czy każdej wsi strzegą archaniołowie? W dodatku, „w centrum Prawieku Bóg usypał górę, na którą każdego lata zlatują się chmary chrabąszczy”. W takiej wsi zdarza się to, co realne, i to, co, według ludzkiego pojęcia, przynależy do jakiegoś innego świata. Realne są dwie wojny, z których jedna, pierwsza światowa, obeszła Prawiek z daleka, a druga przeorała go wzdłuż i wszerz. Rzeczywiste wydają się losy dziedzica Popielskiego, a także zdarzenia dotyczące kilka pokoleń Niebieskich i Boskich.

Czy jednak rodziny chłopskie noszące takie nazwiska nie wydają się trochę jak z innego świata? W świecie wiejskim Prawieku, oprócz dziedzica i chłopów jest także, oczywiście, ksiądz, a także, aby obraz był kompletny, rodzina żydowska. Temu realnemu światu dworu, plebanii, chatup i karczmy towarzyszy tajemniczy, a często złowrogi świat istot z lasu i rzeki: Topielca Pluszcza, Złego Człowieka z lasu i Kłoski, znajdującej się między tymi dwoma światami i nie stosującej się do żadnych norm



dziewczyny brodzącej boso po śniegu, noszącego jako naszyjnik oswojonego węża.

W świecie Prawieku znajdujemy wszystko to, co może przeżyć człowiek: narodziny i śmierć, miłość i nienawiść, spokój i wieczne poszukiwanie, wierność i zdradę, wojnę i pokój, zdrowie i chorobę, pracę i bezczynność... Lzydor, odmienny poprzez swoją chorobę, syn Genowefy i Michała Niebieskich, na tropie poszukiwań harmonii wszechświata znajduje nie tylko pary zjawisk, ale rzeczy poczwórne. Na przykład cztery stany istnienia: życie - umieranie i śmierć - okres po śmierci - odrodzenie. Albo cztery stany świadomości: letarg - sen głęboki - sen płytki - jawa. Albo cztery „kabalistyczne sefioty”: łaska - piękno - siła - panowanie. Albo cztery zdolności ludzkie według Galena: fizyczna - estetyczna - intelektualna - moralna i duchowa. Albo cztery wymiary, cztery stany skupienia, cztery aspekty świadomości, i tak dalej. „I wciąż lista nie była zamknięta. Nie mogła być zamknięta, bo wtedy skończyłby się świat. Tak myślał Lzydor. Myślał też, że wpadł na trop ładu, który obowiązuje w całym wszechświecie, na swoisty boży alfabet”.

Lzydor, uważany przez wszystkich za lekko upośledzonego, kochał Rutę, córkę Kłoski. Tylko ona, tak samo jak on odmienna, choć w inny sposób, potrafiła go zrozumieć. Ale Ruta, tak bliska mu, gdy byli dziećmi, dorosła, wyszła za mąż, a końcu wyjechała na drugi koniec świata. Była to miłość nieustanna, cierpliwa, niczego nie oczekująca. Gdy Lzydor „leżał i patrzył w sufit, wracały do niego obrazy i zapachy z czasów, gdy Ruta jeszcze była. Pamiętał każde jej słowo, każdy gest. Odtwarzał je po kolei”. Tak jak tę chwilę, gdy powiedziała mu, że wychodzi za mąż: „Ruta stanęła naprzeciw Lzydora. Za plecami miała całą wieś. - Lzek, wychodzę za Ukłeję. - Nie - powiedział Lzydor. - Chcę stąd odejść do miasta, chcę podróżować, chcę mieć kolczyki i czófenka. - Nie - powtórzył Lzydor i zaczął drżeć. Woda spływała mu po twarzy i zamazywała widok na Prawiek. - Tak - powiedziała Ruta i odeszła kilka kroków do tyłu. Pod Lzydorem ugięły się nogi. Bał się, że upadnie. - Będę w Taszowie. To niedaleko! - krzyknęła i zawróciła do lasu”.

Miłość Lzydora do Ruty, miłość namiętna Misi i Pawła, miłość małżeńska Genowefy i Michała, miłość, na którą nie pozwalają zasady Genowefie i Eliemu... A miłość Lalki? „Lalka to ruda, kudłata suka. Lalka najbardziej kocha Misię, dlatego zawsze stara się mieć Misię w zasięgu swego rudego wzroku. Wtedy wszystko jest na swoim miejscu. Lalka chodzi za Misią do studni, do ogródka, wychodzi z nią na Gościniec, żeby popatrzeć na świat. Nie wypuszcza Misi z objęć swych oczu. Lalka nie myśli tak, jak myśli Misia czy inny człowiek. Dlatego kiedy Misia ubiera się i wychodzi, Lalce się wydaje, że odchodzi ona na zawsze. Na zawsze co niedziela idzie do kościoła. Na zawsze schodzi do piwnicy po ziemniaki. Kiedy znika z pola widzenia Lalki, znika na zawsze. Smutek Lalki jest wtedy bezgraniczny, suka kładzie pysk na ziemi i cierpi”.

Olga Tokarczuk stworzyła w swojej książce świat wsi na poły magicznej, na poły realnej. Ludzie wydają się zajmować w tym świecie miejsce niekoniecznie uprzywilejowane wobec zwierząt i przyrody. To świat, gdzie ludzie mogą wydać się zwierzętami, a zwierzęta cierpieć jak ludzie, albo jeszcze bardziej. Przyroda zdaje się ożywać, jak arcydziegiel, z którym we śnie kochała się Kłoska. Grzybnia zaś, która nie jest ani rośliną, ani zwierzęciem, jest bardzo niepokojąca: „przerasta łąki i wędruje pod drogami ludzi, wspina się na mury ich domów, a czasem w przypiływie mocy niezauważenie atakuje ich ciała”. Inaczej jest z drzewami: „lipy, jak wszystkie rośliny, żyją wiecznym snem, którego początek tkwi w nasieniu drzewa. Sen nie rośnie, nie rozwija się wraz z nim, zawsze jest taki sam. Drzewa są uwięzione w przestrzeni, lecz nie w czasie. Od czasu uwalnia je ich sen, który jest wieczny. Nie rosną w

nim uczucia, jak we śnie zwierząt, nie rodzą się obrazy, jak we śnie ludzi”.

„Prawiek i inne czasy” - te inne czasy są miarą kolejnych części książki. Czas Lzydora, czas Misi, ale też czas sadu, czas Florentynki, czas Matki Boskiej Jeszkotłowskiej..... Olga Tokarczuk snuje swoją opowieść, a czytelnik, wiedziony jej pewną ręką, coraz bardziej zagłębia się w na poły realistyczny, a na poły mityczny świat wsi, która leży „w środku wszechświata”.

Wiemy, że Prawiek położony jest niedaleko Kielc. Tam właśnie, w Świętkorzyskiem, znajdują się korzenie Olgi Tokarczuk. Rodzinny dom noblistki, gdzie mieszkali jej dziadkowie i urodziła się jej matka, a nadal mieszka jej wujek, znajduje się we wsi Zagrody, niedaleko Kurozwek w gminie Staszów. Pisarka bardzo często przyjeżdżała do rodzinnej wsi, spędzała w Zagrodach jako dziecko każde wakacje, a i dziś odwiedza wujostwo. Mieszkańcy wsi i okolic są przekonani, że inspiracją do powieściowej wsi były właśnie Zagrody. W 2012 roku powstała grupa nieformalna z gminy Staszów, która stworzyła projekt, mający na celu odnalezienie książkowego Prawieku i fotograficzne udokumentowanie opisanych miejsc. Uczestnicy projektu, głównie młodzież, odwiedzała okoliczne miejscowości, kierując się topografią stworzoną przez Tokarczuk. Według nich Prawiek to Zagrody, Jeszkotle to Kurozweki, a Taszów - to Staszów.

Prawiek, jak się zatem wydaje, ma swój pierwowzór w rodzinnej wsi Olgi Tokarczuk. W kolejnych powieściach pisarka także przywołała wieś, ale już z innych rejonów kraju. „Dom dzienny, dom nocny” osadzony jest we wsi Pietno w Kotlinie Kłodzkiej, w której to kotlinie, w niewielkiej osadzie, rozgrywa się także akcja powieści „Prowadź swój pług przez kości umarłych”. Noblistka ma korzenie na wsi, umieszcza wsie w swoich powieściach, ale samą siebie także umieszcza na wsi. Dzieciństwo spędziła z rodzicami we wsi Klenica, na wakacje jeździła do dziadkowych Zagród, a od 26 lat mieszka we wsi Krajanów koło Nowej Rudy, na ziemi kłodzkiej na Dolnym Śląsku. Na pytanie, dlaczego osiadła na wsi, pisarka mówi, że „od kiedy pamiętam, nie chciałam mieszkać w mieście. Za dużo bodźców. Tego domu szukaliśmy od bardzo dawna. W końcu znalazłam ten pod Nową Rudą. Nawet nie wysiadając z samochodu, zdecydowałam się, że ten dom kupimy. Wystarczyło, że zobaczyłam dolinę”.

Krajanów jest jednym z najważniejszych dla często podróżującej pisarki miejsc. Noblistka otrzymała nagrodę Szwedzkiej Akademii za m.in. pisanie o przekraczaniu granic jako formie życia. Pierwsze takie, dziecięce, wiejskie doświadczenie, opisuje Tokarczuk w powieści „Bieguni”: „Pierwszą swoją podróż odbyłam przez pola, piechotą. Długo nikt nie zauważył mojego zniknięcia, dlatego udało mi się pójść całkiem daleko. Przeszłam cały park, a potem - polnymi drogami, przez kukurydzę i wilgotne, pełne kaczeńców łąki, pokratkowane rowami melioracyjnymi - do samej rzeki. Zresztą rzeka była i tak wszędzie obecna na tej nizinie, przesiąkała pod poszyciem traw, obliżywała pola. Gdy wspięłam się na wał ochronny, zobaczyłam ruchomą wstęgę, drogę, która wypływała poza kadr, poza świat”.

Droga wiedzie w świat, jak ta z Taszowa do Kielc, na północnej granicy Prawieku. Ale droga ta pozostała w książce. Co zaś z Prawiekiem? Prawiek dostał drugie życie i na zawsze będzie upamiętniony w 25 tysiącach drzew. Dla uczczenia literackiej Nagrody Nobla Olgi Tokarczuk na obrzeżach Krakowa właśnie kończą sadzić las. Na przestrzeni wielu hektarów sadzą drzewka dzieci, młodzież, dorośli krakowianie i mieszkańcy okolic. Pierwszym drzewkiem był buk, który prezydent Krakowa otrzymał od noblistki z jej gospodarstwa w Krajanowie. A las będzie nosił nazwę „Prawiek”.

Jolanta Betkowska, Słupsk

Zapomniany Chaplin polskiego kina



Jan Kobuszewski jest w każdym z nas, zwłaszcza w tej wciąż jeszcze sporej grupie rodaków, którzy pamiętają, że nie tylko cukier i mięso były kiedyś na kartki, że tzw. PRL budowała wraz z nami cała masa fachowców z Jasiami, co to terminowali u nich na nauce, a jak coś nie wyszło, to „przyszła walec i wyrównał”

„On stworzył oryginalną postać człowieka, który ciągle mierzy się z trudnościami stwarzanymi przez życie” - tak w 1978 roku powiedział Stanisław Dygat. I choć polski pisarz i felietonista wyraził się tak wcale nie o Janie Kobuszewskim, a o Charliem Chaplinie, zaraz dodając jeszcze: „Właściwie ten Chaplin w każdym z nas jest i to codziennie” - trudno jednakże nie oprzeć się wrażeniu, że słowa te pasują w dużej mierze również i do Jana Kobuszewskiego, z którym pożegnaliśmy się we wrześniu tego roku...

Porównania twórczości scenicznej, estradowej i filmowej Kobuszewskiego do Chaplinady nasunęły się także choćby Agnieszce Osieckiej, która w swojej „Fotonostalgii” jakże trafnie zanotowała: „Kobuszewski jest graficzny. Powinny wszędzie wisieć plakaty, obrazy i znaki drogowe z postaciami Kobuszewskiego w tańcu. Powinien powstać serial filmów animowanych pod tytułem »Przygody młodego znaku zapytania«, a w roli znaku zapytania powinien wystąpić Jan Kobuszewski. Powinien być prowadzony w szkole teatralnej i filmowej specjalny kurs pt. »Fenomen aktorstwa Jana Kobuszewskiego«, ponieważ to jest aktorstwo, które zaprzecza wszelkim banalnym kanonom. Kanony powiadają, że nie powinno się przerysowywać, robić mały, wyginać we wszystkie strony i śmiać się z własnych dowcipów, a Janek K. przegrywa, wygina i robi, a mimo to jest cudowny. Powinien, krótko mówiąc, narodzić się reżyser filmowy, który by życie poświęcił kręceniu komedii z Kobuszewskim, ponieważ warto. Tak się jednak nie stało i Janek Kobuszewski jest zmarnowanym Chaplinem polskiego kina”.

Bo Jan Kobuszewski jest w każdym z nas, zwłaszcza w tej wciąż jeszcze sporej grupie rodaków, którzy pamiętają, że nie tylko cukier i mięso były kiedyś na kartki, że tzw. PRL budowała wraz z nami cała masa fachowców z Jasiami, co to terminowali u nich na nauce, a jak coś nie wyszło, to „przyszła walec i wyrównał”. Kobusz jest wśród tych, co nie mogą powstrzymać uśmiechu, gdy usłyszą „Dobranoc państwu”, bo dla kilku pokoleń Polaków to nie są tylko dwa słowa, a niezapomniane pożegnanie „Bajek dla dorosłych”. Jest on również wśród tych, którzy już wiedzą że „dana woda, napotykać na otwór, czyli szczelinę, wypływa”... i że „chamstwu należy się przeciwstawić siłom i godnościom osobistym” (nawet jeśli nie do końca wiadomo, jak to zapisać, choć zawsze z „wężykami”).

Bo Pan Janek z Kabaretu Olgi Lipińskiej był zawsze z nami w najtrudniejszych chwilach i jako jeden z absztyfikantów

w „Ożenku” Gogola i jako Fredrowski kapelan z „Dam i huzarów”, który powtarzał nam wszystkim: „Nie uchodzi, nie uchodzi”, choć czasem też w teatrze telewizji „tylko” komentował rzeczywistość w „Nie igra się z miłością” Alfreda de Musseta i przestraszał swą trupią bladeością w telewizyjnej makabresce Dumasa „Zmartwychwstanie Offlanda” jako dyżurny duch na paryskim cmentarzu, by potem tłumaczyć w Kabarecie Dudek, do czego tak naprawdę służy „Księga skarg i zażaleń”... A dzieciakom przybliżał ciepłym głosem zawile przygody wróbla Ćwirka...

Potrafił wzbudzić uśmiech samym pojawieniem się na scenie choćby w apaszowskim popisowym numerze piosenkarskim „Bo ja nikogo nie potrafię kochać już”, który był w jego wykonaniu scenicznym majstersztykiem.

Kobuszewski potrafił wszystko... Był aktorem kompletnym, z naturalną vis comica, bliskim każdemu, kto choć raz mógł być świadkiem jego kunsztu. A nade wszystko był tą weselszą i jaśniejszą historią naszego kraju (choćby to zabrzmiało górnolotnie) i bardzo ważną częścią życia kilku pokoleń ludzi znad Wisły. Był nami i z nami... I za to Mu z serca dziękuję...

Dr Magdalena Kubiak, Wiek



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Książki, do których warto zerknąć: Jan Kobuszewski, „Patrzę w przyszłość (i przeszłość) z uśmiechem i radością...”; „Irena Kwiatkowska i znani sprawcy” Romana Dziewońskiego; „Sęk z Dudkiem” Romana Dziewońskiego; Wiesław Michnikowski w rozmowie z Marcinem Michnikowskim, „Tani drań”; „Na Gótasu” Agnieszki Gótas-Ners. (M.K.)

„Morkut i inne opowiadania” Aleksandry Majdzińskiej

Tuż przy głównej drodze stoi zielony znak drogowy. Napis na nim jest mylący, bo prowadzi do wsi, która jest dwa kilometry dalej. Tu jest tylko kilka domów pod lasem, a ich mieszkańcy są bohaterami tych opowiadań. Łączy ich miejsce i emocje, które to miejsce generuje



„Bohaterowie „Morkuta” albo chcą stąd uciec, albo tu wrócić, są też tacy, którzy chcą o tym miejscu zapomnieć i tacy, którzy szukają tu swojej przeszłości, i w końcu ci, którzy czują się tu szczęśliwi. A co chcą powiedzieć bohaterowie „innych opowiadań”? Że zbrodnia, choć nieosądzona, sama wymierza sprawiedliwość, bo podświadomie trawi sumienia bohaterów, tak jak wytrawi tytułowy baniak i w najmniej oczekiwanym momencie przypomni, że jest, wypłytnie nieoczekiwaną łzą, niechcianą spermą, załopocze chustką, zabrzmi fałszywą nutą diabelskich skrzypiec, przemknie się światłem po wyblakłej fotografii, zapachnie wiśniami w kazachskim stepie, a potem rozścieli swój dywan na pustym peronie we Floresztach, chociaż pociąg już odjechał” - zachęca do przeczytania książki jej autorka.

„Te historie ułożyły się w jedną książkę - „Morkut i inne opowiadania”. Piętnaście zapamiętanych obrazów. Niczym przez szkło powiększające autorka obserwuje detale spraw zamiatanych, pomijanych, niezauważanych, które toczą się z dala od głównych dróg. Każde opowiadanie to los pojedynczego człowieka zdeterminowany przez wielką historię lub przez drobne, codzienne sprawy. Noblistka. Czternaście zapamiętanych obrazków, przy których warto się zatrzymać” - tak zachęca na okładce Wydawnictwo Marpress.

Z kolei Paulina Małochleb na portalu ksiazkinoastro.pl tak recenzuje i zachęca do lektury: „Aleksandra Majdzińska debiutuje książką poruszającą zupełnie dzisiaj zapomniane wątki, zapisuje białe plamy polskiej kultury, powraca do tego, co nieśmiało i w ramach mowy ezopowej pojawiało się w polskiej prozie lat 60. „Morkut” to opowieść o tych, którym nigdy nie oddano głosu (jak dzieci, biedota, wrogowie narodowi) albo ich głos marginalizowano (jak większość kobiecych bohaterek). Ironia historii, ślepe tory dziejów, wstydlive zdarzenia - to jej żywioł.

Mocny rysunek, wyraziste konflikty równoważą się tu z zawieszonymi zakończeniami i niejasną oceną moralną, powracają wypierane narodowe traumy, cały katalog wstydu i hańb. Żywiołem tych opowiadań jest historia, ale pojmowana w sposób nowoczesny, z żywymi, świeżymi postaciami, bo Majdzińska dobrze wie, że publikuje po uznaniu w Polsce przemocy domowej za akceptowaną władzę rodziców.

O piszących w ten sposób mówi się dzisiaj, że nie biorą jeńców.”

Debiutancka książka Aleksandry Majdzińskiej, pochodzącej z małej miejscowości Stara Dąbrowa w gminie Damnica, ukazała się 15 listopada br. w gdańskim wydawnictwie Marpress. Autorka jest stypendystką ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz marszałką województwa pomorskiego. W tym roku otrzymała „Białego Bociana - 2019” - nagrodę starosty słupeckiego, przyznawaną w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony dóbr kultury. Zachęcamy do interesująco zapowiadającej się lektury jej pierwszej książki. **(z)**



„Wajda” w Muzeum Narodowym w Krakowie



Przez wiele lat muzea nauczyły nas zwiedzania, czyli oglądania (często w ochronnych kapciach) obiektów stałych umieszczonych za szybą, barierką, w gablocie lub zawieszonych na ścianach. Wyjątkiem była tkanina i rzeźba czasami prezentowana w dostępnej widzowi przestrzeni. Ale i one trwały nieruchomo

swoistą introdukcję można porównać do centrum rozwiniętego kwiatu, z którego przechodzi się na płatki, nazwane: „Piekło”, „Rewolucja”, „Mit”, „Intymność”, „(Nie)śmiertelność”, „Mi-se-en-scene”. Przykładowo w części „Piekło” pokazano fragmenty filmów „Lotna” i „Kanał”, w strefie zatytułowanej „Intymność” ujrzelśmy „Bez znieczulenia”, „Dyrygenta” i „Polowanie na muchy”, a na krąg o temacie „Mit” złożyły się: „Popioły”, „Pan Tadeusz” i „Wesele”. Można było swobodnie przemieszczać się między płatkami tego niezwykłego kwiatu. Także bilet wstępu na wystawę (5 zł) pozwalał na wielokrotne zwiedzanie, bowiem był ważny aż do dnia jej zakończenia.

Jak pokazać w muzeum udźwiękowiony ciąg obrazów, które oko ludzkie postrzega jako ruchome, czyli film? I to nie jeden, lecz wiele filmów, całą twórczość najpłodniejszego polskiego reżysera; scenarzysty i scenografa. Przed tak trudnym zadaniem stanął zespół składający się z projektanta wystawy dr hab. Tomasza Wójcika oraz innych wysokiej klasy specjalistów. Sądzę, że bardzo dobrze wywiązali się ze swego zadania. Wyszedłem z wystawy „Wajda” prezentowanej od 6 kwietnia do 15 września br. w gmachu głównym Muzeum Narodowym w Krakowie doinformowany i pełen wrażeń. Opiekunka ekspozycji zapytała: „No i jak?”. Wzrok oswojony z ciemnościami, półmrokiem i światłami projekcji, powoli akomodował się: powieki mrugały, gałki oczne drgały, nim spostrzegłem sylwetkę pytającej, skąpaną w strugach dziennego światła. - Wspaniale! - odrzekłem, a przecież jestem dyplomowanym filmologiem i stać mnie na krytykę. Przez moment nie wiedziałem, gdzie jestem i gdzie mam dalej pójść: oślepiony czy olśniony? Obfitość Wajdy. Zenit.

Wchodząc na wystawę, zagłębialmy się w półmrok, ponieważ jej pomysłodawcy wyeksponowali, gdzie tylko było to możliwe (na „ścianach”, podestach, w gablotach), obiekty dotyczące życia i twórczości Andrzeja Wajdy, a te musiały być oświetlone. Zwiedzanie otwiera część biograficzna od narodzin w Suwałkach (6 III 1926), poprzez okresy: radomski, krakowski, łódzki i warszawski, gdzie nastąpił zgon (9 X 2016). Nazwano ją „Moje domy”. Kalendarium wzbogacają fotografie i pamiątki rodzinne. Szczególne miejsce zajmuje tu ojciec, oficer WP, żołnierz wojny obronnej 1939, któremu syn mógł oddać pełny hołd dopiero pod koniec pracy reżyserskiej w filmie pt. „Katyń” (2007).

Ekspozycję zamyka wystawienie w gablotach statuetek nagród zdobytych przez reżysera: Złoty Niedźwiedź, Złota Palma, Kioto, Złoty Lew, Oskar. Na ten nurt wystawy złożyły się: fotografie, fotokopie, świadectwa, dyplomy, obrazy, plakaty, recenzje z filmów (także zagraniczne) oraz artefakty, czyli obiekty pozostawione przez A. Wajdę, m.in. szkice, scenariusze, rysunki, zapiski, rekwizyty i kostiumy, projekty scenografii itp. Ale nie archiwalia były głównym celem ekspozycji, lecz filmy. Ich fragmenty są wyświetlane na dużych ekranach. Ekran są niemal wszędzie, także małe monitory. Użyto wielu nowoczesnych sposobów prezentacji multimedialnej (m.in. mapping, interaktywne ekrany informacyjne, artystyczne instalacje audiowizualne, wideoseje, black boxy).

Cała wystawa została podzielona na siedem części. Pierwsza z nich to opisane powyżej „Moje domy”. Tylko w niej obowiązywał układ chronologiczny, pozostałe miały dobór tematyczny, obudowany kontekstem biograficznym. Tę



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Niekonwencjonalna, frapująca, nowatorska ekspozycja... Zbyszek Cybulski zapala spirytusowe lampki; recytuje wiersz C. K. Norwida, który stał się mottem powieści J. Andrzejewskiego pt. „Popiół i diament”, zekranizowanej przez

A. Wajdę. Wojciech Pszoniak, Andrzej Seweryn i Daniel Olbrychski jako filmowa „trojka” śmieją się w „Ziemi obiecanej”. D. Olbrychski pojawia się jeszcze w kilku innych filmach m.in. w „Weselu”. Małgorzata Braunek szczyrzy zęby w uśmiechu i wytrzeszcza oczy w „Polowaniu na muchy”. Olgierd Łukasiewicz na tle brzoź. Jerzy Radziwiłłowicz chwyta cegłę i Krystyna Janda krzyczy: „Ja zrobię ten film nawet na ósemce!”. Maszerują żołnierze z „Popiołów”, jadą kawalerzyści z „Lotnej”, jak to u Wajdy: ciągły ruch i zmiana. Kadr za kadrem, ujęcie za ujęciem, scena za sceną, aż dopiero śmierć powiedziała: kamera stop! Dziewięćdziesiąt lat życia, z czego sześćdziesiąt jeden lat reżyserskich. Tytan pracy.

A jednak to nie koniec. Muzeum Narodowe w Krakowie przygotowało szereg imprez towarzyszących wystawie, a więc wykłady, pokazy filmów i spotkania z aktorami, lekcje muzealne, oprowadzanie kuratorskie, spotkania dla seniorów i nauczycieli, warsztaty dla dzieci, młodzieży i dorosłych - wszystko związane z postacią wybitnego reżysera i w większości bezpłatne.

Mało tego, bo w Ogrodzie Pawilonu J. Czapskiego (który nb. jest Oddziałem Muzeum) także prezentowano filmy A. Wajdy, poprzedzone spotkaniami z grającymi w nich aktorkami.

Krystyna Janda wspomina swego męża, operatora filmowego A. Wajdy. Jej opowieść o jego umieraniu stała się monologiem w początkowej długiej sekwencji filmu pt. „Tatarak”, który obejrzymy. K. Janda zaistniała w środowisku

aktorsko-filmowym pod parasolem ochronnym doświadczonego reżysera, który docenił emocjonalną postawę debiutantki, grę inną niż dotychczas praktykowane. Nie dziwią zwierzenia osobiste i ży, gdy mówi o tak wielkim artyście.

Maja Komorowska także podkreśla jego kulturę osobistą i wspaniałomyślność, bo pozwolił jej na samodzielne dodanie kilku zdań, których nie było w scenariuszu, gdy rozmawiała z D. Olbrychskim w „Pannach z Wilka”. Wspomina o dużej samodzielności aktorów na planie i tolerancji reżysera. Podobnie uważa Anna Seniuk, iż A. Wajda potrafił czekać aż do momentu, gdy aktorzy dopasują się do przewidywanej, lecz niewymaganej na siłę, gry, tempa ujęcia, klimatu sceny.

Był reżyserem a nie treserem; wymagał, lecz także potrafił zrozumieć, iż przed kamerą stoi żywy człowiek, który ma swoje prywatne zmartwienia. W stosunku do aktorów nigdy nie używał ostrych słów. Potrafił stonować i wyśrodkować krytykę. Starał się nie urazić, a przecież reżyser musi rządzić w czasie nakręcania filmu jak dyrektor w zakładzie pracy. Z ciekawości słuchałem Krystyny Zachwato-wicz-Wajdy (trzeciej z „Paniem z Wilka”), gdy opowiadała o pracy i ich wspólnym życiu, była przecież jego żoną od roku 1974 aż do chwili śmierci artysty. A potem projekcja filmu, odnowionego w technice cyfrowej, oglądanego na leżakach w Pawilonie Kina Letniego pod prawdziwymi gwiazdami.

Artur Bok-Szwabowicz
Kraków

Bagaż podróżny. O wierszach Katariny Lavmel z tomu „Anturaż”



*Kiedyś było prościej,
językowo i życiowo. Każda
panna miała skrzynię
posagową i do niej od
dzieciństwa panienki
składano ubrania, bieliznę,
pościel, sprzęty gospodarstwa
domowego, tak że w chwili
zameścia, czyli opuszczenia
domu rodzinnego, skrzynia
była pełna wszelkiego dobra.
Do tego jeszcze posag
i tak zwany „przywianek”*

Jednak nie o prawie i tradycji materialnego uposażania kobiet będzie sprawa. Będzie o dziedzictwie tożsamości, o tym jak to jest, gdy się przekracza granice z bagażem - „skrzynią posagową” kultury w obrębie której, jak w skrzyni, otrzymujemy pojęcia, zasady, wyobrażenia, wszystko zamknięte językowym kluczem.

Otworzył nam się świat. Katarina Lavmel, czyli Katarzyna Nazaruk otwiera przed czytelnikiem swoją skrzynię posagową tomikiem wierszy „Anturaż”. Obce słowo, ale pokrewieństwo znaczeniowe z metaforyczną skrzynią posagową jest oczywiste.

Książeczka jest piękna, biała jak niewinność, z grafiką na okładce nawiązującą do tytułu, wyposażona w siedem rysunków słupskiej plastyczki Katarzyny Tomasiak, portugalskie i (angielskie) tłumaczenia wierszy, zdjęcia i informacje o autorce na skrzydełkach niewielkiego tomiku. Zawartość to tylko dwadzieścia sześć wierszy. Powściągliwych w języku, zwartych, drżących podskórnymi emocjami, a mimo to osadzonych we współczesnej rzeczywistości szczegółów do bólu... fizycznego („nadal jesteś mokry od bólu”) i metaforycznego:

*„osobno znów zasypiasz
ktoś przykładą lód do obolałej nogi
noc szmerze wiatrem i grabi liście
aż duszno od samotności”*

W świecie przedstawionym w wierszach nakładają się przestrzenie geograficzne: plaża polskiego Helu i klify Algarve - w rytuale cabeceo; mieszają się pojęcia i smaki: „gauczo dojrzeza w tańcu/jak primitiwo / wyzwala swoje najcudniejsze nuty / łase dla każdego podniebienia”. Wszystko wiruje w zmysłowym tańcu, jedynym zbliżeniu dającym wytchnienie: „nasz taniec nie ma horyzontów” i „tango nie ma granic”.

Nakładają się rzeczywistości realna i wirtualna: „dziś od rana atakują wyczesane fryzury / kawa i herbata w tv-shope / a fejsbukowe twarze wysyłają oczka”, „potrzeba wirtualnej marihuany / aby się spotkać” oraz realna i mityczna - obraz Asgardu, („w naszym Asgardzie”) z „Frigg z uśmiechem tkającą chmury”). Przestrzeń emocji opisać można tylko - „docho-dząc do rdzenia”. „zamknąć ją (je) w ból kolejnych tęsknot // czeszę włosy porządkując uczucia...”

W apostroficznym liryku „Zonglujesz maskami” bohaterka wyznaje: „nie zdradzasz intymnej gry w ciciubabkę / z samą sobą”. Lekkość lirycznej wypowiedzi jest pozorem, powierzchwnia, pod która czają się lęki, strach, ból a - „w aptekach brak remedium na niepewność”.

Nakładają się pola emocjonalne: pragnienie, tęsknota i osobność, niemożność dotarcia mimo fizycznej obecności i bliskości: „Po co to w s z y s t k o? / gdy budzi się wspólne nic / tak blisko siebie a pomiędzy // tylko ironia karton i gips” albo „- dlaczego lubimy uciekać / w osobność?”.

Krucze, niewielkie liryki, wchodzące językiem w codzienność, kobiece - w sposobie konstruowania świata przedstawionego, będą dla uważnego czytelnika opisem przemian kulturowych, jakie niesie współczesność otwarta przestrzennie granicami, językami i otwarta wirtualnie.

„Wygląda na to, że miał rację Michel Foucault, zapowiadając, (...) że to nowe relacje przestrzenne naznaczą w sposób szczególny naszą współczesność. To na rzecz przestrzeni porzuciliśmy historię. (...) Żyjemy w czasach nowego usytuowania w przestrzeni. Tak czy inaczej pojęcia „symultaniczności”, „przenikania”, a zwłaszcza „sieci” niezwykle trafnie opisują nowe parametry kulturowej zmiany” - pisze Dariusz Czaja w artykule „Nie - miejsca. Przybliżenia i rewizje”. („Inne przestrzenie, inne miejsca”, Wołowiec 2013.)

Dawne kody kulturowe, zwyczaje etniczne, osobne niegdyś, poddane zostają rewizji, paralelnym układom:

*„Portugalskie mulheres delektują się
słońcem w kafejkach Algarve
a w warszawskich Łazienkach siwowłosa
karmi gołębice - spokojna i łagodna”
(...) nie doświadcza już eksplozji gniewu
nie pielęgnuje blizn”*

Stąd konieczność definiowania od nowa jednostkowej tożsamości, budowanie nowego anturazu, wypełniania skrzyni posagowej, w której dawne pojęcia i wyobrażenia nieco się zdezaktualizowały. „Inna”, bohaterka wiersza Katariny Lavmel, ubrana w słowa z popeliny / jest jak żywność GMO / nafaśzerowana chemią - pięknem na niby / (...) ma podwójnie czułą skórę / toczy bitwę ze światem/ o własną tożsamość”.

Motyw odejścia („I po co... te odejścia aby szukać przestrzeni”, „odchodzisz, aby widzieć drugi brzeg”), jest dla lirycznej bohaterki podjęciem próby otwarcia nowej perspektywy, remedium na kulturowe, jeśli i starzenie się obejmujemy

tą kategorią, dylematy - „pamiętaj że każdy koniec / to sponiewierany początek”. W zarysowanym poetycko wątku fabularnym (nie, to nie paradoks) prywatna historia życiowej zmiany jest pretekstem do szerszych refleksji.

Pewność rozpada się jak miraż („uwierzyć w miraż?”), „różaniec / z Fatimy”, „10 przykazań / przeżuliśmy na papkę z czosnkiem” - będą wnioskami czy argumentami w rozprawce „jak żyć by być szczęśliwym”? Wciąż „jałowe chwile spiskują w głowie”, „za skałami

myśli kręcą wiry”, „prawdopodobnie Bóg uleczy strach / który jak cień drażni”. Nie ma nic pewnego, wszystko jest na niby, jak wirtualny świat - krzywe lustro rzeczywistości. Maską, „bluff uzależnienia / jak muzyka rapera / zagnieżdża się w głowie i drwi”.



Fot. A. Sobretro

Nadzieją jest miłość. Najpierw najpewniejsza, bez zastrzeżeń - macierzyńska - „budzisz się - jesteś drzewem pełnym pąków”. Motyw matki, która „zgarbiła kolejne troski jak obręcz”, „ocalała ją tymi drobnymi rękoma / znosząc ciężar i tępiąc ból” i motyw macierzyństwa to chwile spełnienia, nadzieja na odbudowę tożsamości:

*„dziękuję za czas który nam dajesz
bym wróciła z odpowiedzią
znalazła silną siebie w tobie
(...)
złap mnie za rękę jak kiedyś”*

Inne niosą niepokój i strach, nie pomogą psycholog ani psychiater: „tych uczuć im nie podrzucę / choć jak łańcuchy / wloką mnie po bruku w przepaść”... i kolejną kruchą nadzieję, bo „nikt nie chce być martwą rybą / wyrzuconą przez ocean na piach”.

Tomik „Anturaz” zamykają dwa wiersze - „Nie przewidziałam cię” i „Chwilo-byty”. Oba są próbą scalenia mikroświata i kobiecej tożsamości, próbą porządkowania posagowej skrzyni.

*„dzisiaj naocznie cię poznałem
była p u s t k a
jałowość w skornie
jak pliki słów którym matkowała
cybermystyfikacja”.*

Długa droga, podróż z bagażem kończy się happy endem, powrotem do źródła, wiecznego mitu:

*„chłonę ciebie i migotliwość chwili
najbardziej głodna w winne wieczory i poranki
muskam ustami plecty i uda jak Gaja grudy ziemi”.*

Gdybym miała szukać literackich kontekstów, przywołałabym niedawno wydane zapiski Anny Świrszczyńskiej „Jeszcze Kocham” i jej wiersze z tomu „Jestem baba”, ale i wcześniejsze: liryczne wyznania Haliny Poświatowskiej i jeszcze wcześniejsze - Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Kobiecość jest w wierszach Katariny Lavmel opowieścią o drodze do siebie i platformą nakreślenia problemów współczesności, bez sentymentalizmu i czułościowości.

Kiedyś było prościej...

Czesława Długoszek, Objazda



wiersze najnowsze

Bogumiła Skomoroko, Słupsk

WIGILIA 2019

I znów kolejne święta.
Hej kolęda, kolęda.
Biały obrus z opłatkiem
Łzy ocierane ukradkiem
I nieobecnych cienie
Jak modlitewne wspomnienie
W drgającym blasku świec.
Kolędo miłości, ciepła i bliskości
Zostań wśród nas.
Kolędo tradycji i mądrości
Tęsknoty do dzieciennych lat
Daj nam radość, szczęście
I ciepło tych pięknych
Rodzinnych świąt.
Hej, kolęda, kolęda!

ZIMA W TATRACH

Tatry
W słońcu i mrozie
Dookoła puchata biel
Ciemna zieleń świerków
Słoneczne refleksy na pninach
I magiczny urok
Ośnieżonych stoków
Spoglądam na te najwyższe
Poszarpane
Majestatyczne
Otulone w srebrzyste gronostaje
Skrzą się w słońcu
Jakby posypane drobinami srebra
Czuję podziw i respekt
Dla doskonałości i piękna
Tego cudu przyrody -
Zimowych Tatr

Zofia Maria Smalewska, Bąkowo

OKRUCHY WIGILIJNEGO OPŁATKA

Okruchy dobroci z wigilijnego opłatka
- łamiemy się nim jak własnym sercem.
Banalnie wypowiadamy słowa życzeń,
szukając potwierdzenia w czynach
bolesnej rzeczywistości. - Magia świąt
opromienia serca najbliższych.

Rozdając okruchy wigilijnego opłatka,
obserwujemy, jak rodzi się miłość.
Stawiając dodatkowe nakrycie na stole,
myślimy o samotnych. Myślimy o sobie.
Jak bardzo nie chcielibyśmy samotności.

Spadająca do barszczu łza szczęścia
łśni niczym gwiazda betlejemska -
może się spełnią najskrytsze marzenia?
... Smakujemy szczerze okrucy dobroci.

ALARM DLA ZIEMI

Wiosną leniwym nurtem strumieni
rzeki rzeźbiły sielskie pejzaże
wiejskie chaty otaczały się
wieńcami kaczęńców

w rozbłyskach słońca stroiły się wody
- jak dziewczęta sprawdzając swoją urodę -
wybiegając w pola niosły ziemi wilgoć

Tak było zawsze - od wieków i wczoraj
dzisiaj krynice maci ludzki zamysł
krótkowzrocznej polityki łatwego zarobku
strumienie wysychają pęka skóra ziemi

giną ryby ptactwo i giną zwierzęta
ludziom też trudno dostrzec błękit nieba
szarzeje przestrzeń duszą się płuca
Kto pierwszy zginie człowiek czy przyroda?

Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo

TYLKO STAJENKA

Wielki Wóz wisiał nad naszą starą stodołą
jak Betlejemska nad stajenką
Gdy zapadał wieczór
przyglądałem mu się z zaciekawieniem

Wracając z Pasterki pierwszy raz zauważyłem
że Wóz odjechał w inny obszar nieba
Chrystus narodził się w stajence
nasza stara stodoła nadal czekała na
Odkupiciela

W stodole pachniało siano
w ciepłych kożuchach czekało kilka owiec
ale Odkupiciel wybrał stajenkę
na dalekiej pustyni i Betlejemską

Wielki Wóz wędrując po niebie
zaglądał do stodoły czy w niej czegoś nie
brakuje

Brakowało żłóbka i wołu
I Betlejemskiej

BOŻE NARODZENIE

Ciężko zanocować w szopie nieogrzałej.
Jak narodzić się było ciężko na pustkowiu,
nie mając pewności, że się bliźny same

goiły będą, a rany przez faryzeuszy zadane
pozwolą zostać królem, by swemu ludowi
drogę do wolności wskazać, by mu przewodzić
w wędrowce po ziemskim bezdrożu.

Ciężko, ale warto dla kadzidła i mirry,
dla tych darów szczerych ze złota i soli,
by udowodnić, że się prorocy nie pomylili. -
Przyjdzie mesjasz i naród z niewoli wyzwoli.
Przyjdzie zbawiciel i pokaże drogę,
która poprowadzi wszystkich do zbawienia.
Zniszczy zło, rozwieje mroki pogrobowe.

Wróci życie wieczne, uwolni od cierpienia.

WSPÓŁISTNIENIE

Wieś bez lasu - to jak nagi człowiek
- bez ochronnego płaszcza liści,
pozbawiona śpiewu nocnych wiatrów...

Przecież tam Bóg się rodzi, moc truchleje...
z choinką, w świecidełkach gwiazd.
Tam księżyc w zaroślach nocy
przeganiał wilki, strzegł zagrody,
by owce mogły nieść Chrystusowi
postugę pasterską.

Żeby kolęda na Boże Narodzenie
nie utonęła w bezkresach śniegu.

Moja rodzinna wieś miała wszystko:
las, własny księżyc i kościół,
organy i cmentarz.

Na cmentarzu ojciec z matką
śpiewają ostatnie grudniowe
i bardzo ciepłe rodzinne kolędy.

24 grudnia 2018

Teresa Nowak, Łupawa

SUBLOKATORKA

Młodziutka sublokatorka nędznego pokoju
Chciała się dorobić, zaoszczędzić i wrócić.
Była uczciwa i prawdomówna, zaufała
słowom

Co jak motyle unosiły się wokół niej
I w niej. Wierzyła słowom za bardzo.
Nie umiała płynnie odczytać podtekstów
I one ją zdradziły. Motyle okazały się
Ćmami i spaliły się w ogniu.
Nic nie zostało. Brak niczego okazał się
Ponad jej siły.
Młodziutka sublokatorka skoczyła

Emilia Konicer, Węgorzyno

WSPOMNIENIE O TACIE

Chodząc samotnie po lesie
widzę ciebie w cieniu drzew
słyszę w tej pozornej leśnej ciszy

na wskroś czuję żal tęsknotę gniew
bo... widzę cię w liściach szeleszczących
w przebiegającej zwierzynie
w gałązkach drżących
każdej pory roku latem i w zimie
w runie leśnym i mchu
w zgubionym piórku sójki
nawet w spróchniałym pniu
i w kukaniu kukułki
w przelatujących ptakach
w spadającej szyszce sosny świerka
w pajęczynie na krzakach
w głębi duszy czuję rozterkę
pamiętam gdy dzieckiem byłam
z tobą poznawałam przyrodę
chwilą beztroskiej radości żyłam
uczyłeś nasładować ptaki przepowiadać
pogodę

wspomnienia tamtych czasów
zerwane ogniwo życia nie wymazało
byłeś człowiekiem lasu
wewnątrz mej duszy wspomnienie pozostało
byłeś nie tylko ojcem rodziny
byłeś bratnią duszą naszym nauczycielem
nie byłam sama miałeś też synów
jednak to mnie nauczyłeś tak wiele
dziękuję z całego serca tato
za tę cząstkę mego życia
za wrażliwość duszy bogatą
którą obserwowałam u ciebie z ukrycia
wszczepiłeś także w mą duszę za życia

WIARA STARUSZKI...

Stara izdebka w niej stare łóżko
wsparta na rancie klęczcy staruszka
w dłoniach przekłada paciorki małe
od lat pamiętnych przez życie całe

Co wieczór klęka w skupieniu ciszy
modli się gorliwie wiedząc że Bóg usłyszysz
modli się z troski o swoich bliskich
kocha bardzo nad życie wszystkich

Pięcioro dzieci wszak wychowała
to co najlepsze w życiu im dała
szacunek miłość wiarę też w Boga
lecz każde poszło swą własną drogą

Sama została w pochyłej chatce
troski radości powierza Bożej Matce
mąż w niebiosach służbę swą pełni
ona w modlitwach wiarę dopełnia

Z serca szczerego Bogu dziękuje
za każdy dzień za to jak czuje
za łzy za radość za ból za zdrowie
miłość do Boga w każdym jej słowie

Wielce się troszczy lecz nie o siebie
wierzy że dobro będzie mieć w niebie
w palcach przesuwa paciorki czule
w ten sposób znosi tęsknoty bóle

Marian Kwidziński, Białogard

DO PIERWSZEGO SŁOWA

Dla Małgorzaty Gómiak

Są drogi co prowadzą
pod strzechy
Są kapelusze gdy trzeba zdjąć
przed kępką trawy
na zapomnianej
mogiłce ciszy głębokiej
Są myśli co biegną
pod fartuch mamy
umorusany dziecięcy
w otwarte ramiona
Są hymny pochwalne nucone
przez świerszcze uśpione
w obrazkach zamkniętych
objęte obrączką nieba
Są ręce wyciągnięte za
tęsknotą Edenu wiecznego
do pierwszego słowa
Mamo tego twojego

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

CZAS JAK RZEKA

czas jak rzeka
jak kra nią płynąca
ucieka roztopia się
nie wraca
zostawia za sobą fakty
radosne i smutne
czas ucieka w nadziei
lepszych słonecznych dni
ucieka jak rzeka szalona
nie pyta nikogo o zdanie
zdążyć do końca
a rzeka
do swego morza

Jadwiga Michalak, Naćmierz

MOJE WIGILIE

Magiczny grudniowy wieczór przez wieki
przesłania śle wierzącym i niewierzącym
zmieniają się stoły obrusy ucztu
różni wiekiem zwyczajami.

Dziewczynka z braćmi rodzicami
siada do stołu
znalazła betlejemską gwiazdę.

Gospodyni z uśmiechem łamie pachnący
sianem

opłatek dzieli się z rodziną
potrafi łączyć serca oczy ręce.

Niczego nam nie brakuje
magia świąt miłości i pojednania
zostawia ślad w pamięci
dla porównania
w innym czasowymiarze.

ŚWIĄTECZY CZAS

zerwane nici niezgody
między pokoleniami
zniknęły gdzieś sąsiedzkie waśnie

nienawiść i obojętność
szczerzą na mrozie zęby

wiara nadzieja i miłość
zagościły w ciepłych chatkach
zasnęły słodko na białym obrusie
budząc życzliwość w sercach ludzi.

cisza jak cała wieczność
potrzebna jest mnie i światu.
daj Boże Pokój zamieszonym w wojnę
żołnierzom daj miłość
pozwól żyć spokojnie.

życzenia świąteczne godne są spełnienia
nie tylko na chwilę
lecz na całą wieczność

bo przecież taką ma moc
ta święta grudniowa noc

Emilia Maraskiewicz, Darłowo

24 GRUDNIA

jasna noc grudniowa
przywarła do wszystkich okien
lodowatymi liśćmi paproci

dym rozsmazany na dachu
odrywa się gwałtownie i zwiija
jak puszczonej ruli papieru

dom pęcznieje od ciepła
dla każdego otwiera swe drzwi
nasze serca i usta

światło świecy z Caritasu
rozpryskuje się pękami promieni
o białe tafle szyb

dźwięki polskiej kolędy
przekraczając granice szeptu
wzbijają się w przestrzeń

wigilijny wieczór
tworzy własne zakazy i nakazy
powstrzymuje nienawiść

łza cichnie powoli
pod warstwą religijnej dobroci
uprzejmości i zrozumienia

pogłębiona wiara w siebie
uratowana wiara w człowieka
zapuszcza korzenie

Zenon Marian Lasoń, SłupskKOŁYSANA DLA DZIECIĄTKA
JEZUS

Śpij, śpij dziecino
Do sianka w żłobku przytul
Zwierzątka przyszły całą rodziną
Rankiem pasterze przywitają Cię.

Śpij, śpij syneczku
Nie płacz, oj nie płacz drogie dziecko
Stajenka zimna, żłobek łóżeczkiem
Zły Herod szuka Cię po świecie.

Śpij, śpij dziecino
Do sianka w żłobku przytul się
W niedoli łzy matczyne płyną
Kiedy jest zimno, kiedy jest źle.

Śpij, śpij syneczku
Nie płacz, oj nie płacz bardzo tak
Przyszły pocieszyć Cię owieczki
Na niebie gwiazda daje już znak.

Spójrz, spójrz dziecino
Z daleka jadą Trzej Królowie
Świat wita Ciebie z dumną miną

Tomasz Mroczkowski, Słupsk

MIŁOŚĆ I WOLNOŚĆ

Masz na imię Słońce
Wodę pijesz z chmur
Kropki nocy w twoich włosach
pamiętają światło gwiazd

Na tablicy twojego serca cały mój świat
Napisany literą złotą, przetrwa trudny czas
Uczmy się miłości
Nie złości
Uczmy się żyć
Bo miłość nie zazdrości
W radości układa nasze dni
W kolorowe sny...
Od skrzydlatych naszych braci wolności

uczę się
Uwolnieni z rąk ptasznika, porzucili
w chmurach gniew

Patrzę za horyzont
Dolecę tam, gdzie chcę
Wolność nie zna granic
Nikt nie zatrzyma mnie
Uczmy się wolności
Nie złości
Uczmy się żyć
Bo wolność nie zazdrości
W radości układa nasze dni
W kolorowe sny...

Ziemowit Szafran, Słupsk

SAMOTNE WIGILIE

Są wigilie samotne
Chociaż kołeda płynie
Choińka pachnie w domu
Lampki jak gwiazdy świecą
Na stole opłatek czeka
Lecz zamiast gości
Przychodzą wspomnienia
I tęskne myśli płyną
O chwilach co minęły
O czasach co nie wrócą

I bliskich których nie ma
Co nigdy już nie przyjdą
Lecz może się pojawią
Ci którzy przyjdź powinni
W nadziei trwa czekanie
Jak prośba
Jak modlitwa
Że może cud się stanie
I wkrótce ktoś zawita
Gdy w końcu ktoś zapuka
Za drzwiami gwar nastanie
To przyjdą kołednicy
Kołodę zaśpiewają
Lecz wkrótce gwar ustanie
Powróci znów milczenie
Wigilii w samotności

Halina Staniszevska, Słupsk

TAM MY

Za szybą widok padającego deszczu
Drzewa pokryte kolorami liści
Gałęzie rozczapierzone jak palce
Chłoną wilgoć
Jednocześnie użyczając schronienia
Wszelakim istotom
Pomimo zimna
Trawy szczytą się zielenią
Ustępując miejsca kałużom
Na niebie
Przemykające strzępiaste
Kłęby chmur
W zniewalającym tańcu wszechświata
Co dalej
Nieznane
Tajemnicze



Małgorzata Słotwińska - Ustka

Jest związana z pięknym miastem nad Brdą - Bydgoszczą, w nim spędziła dzieciństwo i lata młodości. Lata pracy zawodowej to placówki oświatowo-wychowawcze, praca pilota wycieczek i w resorcie obrony narodowej. Wierszy, jak dotąd, nigdzie nie publikowała, więc jest to jej debiut i - jak mówi - nowe wyzwanie. (z)

W TOBIE JEST POETYKA

Słowa zgrabne i czułe
A nade wszystko ulotne
To nic a może i wiele że
Poetyka jest w tobie

Ale to ja jestem poetyką
Ja w podziwieniu milczę
Modlę się i płaczę
Unoszę sny moje i twoje
Sukienką szeleszczę
Ziarna piasku liczę
Tkam kobierzec z rosy
Skrzypcom dźwięki roznoszą

A kiedy noc już blisko
Tulę nadejścia brzask

Bo to ja jestem poetyką

6.08.2019

MOJE KRUPÓWKI

Jest takie miejsce
Znane wszystkim
To zakopiańskie Krupówki

Każdego roku tam właśnie
W czas zmagania skoczków
Gwar i wuuuuzele prym wiodą

My także tam byliśmy
W kolorowy tłum wplątani
Przeżyć uczuć zawirowania

To nic że kościół zamknięty
Modlitwa to nasze czyny
I wspólne ich przeżywanie

A dookoła i śnieg i góry
Wyniosłe świerki
I strumieni pacierze

Gdzieś tam wysoko
W zadumie Giewont
I moja radość w jego tle

MORSKI KAMIEŃ

Zna mój zapach i dotyk
I moich myśli cień

Obejmuję go rękoma
Kiedy serce jego drży

Myśli twoje też pochwyty
Na wieczność przekuje

Naszyc dłoni muzykę
Powierzy wiatrowi

I trwać będzie
W czasie obojętność

Morski kamień

Zasiądźmy do Wigilii

Dzielenie się opłatkiem jest tradycją wyłącznie polską, ale już sam opłatek to przybysz z innych stron świata. Jego historia sięga panowania Karola Wielkiego. W Polsce opłatek upowszechnił się dopiero w XV wieku, gdy prawo wypiekania go otrzymały parafie



Miałam w dzieciństwie wspaniały, ciepły, tradycyjny dom. Mieszkali w nim dziadkowie, ojciec, mama i my - dzieci. Mama opiekowała się domem, nie pracowała zawodowo, wspaniale za to gotowała i kiedy wracaliśmy ze szkoły, zawsze czekała z gorącym obiadem. Miałam trzy siostry i trzech braci - ja byłam „środkowa”, zawsze więc było gwarno i wesoło. Z siostrą - była najstarsza - uczyłyśmy się przy mamie pieczenia świątecznych ciast, mięs, pasztetów.

Boże Narodzenie zawsze było u nas uroczyste i tradycyjne. Przygotowania zaczynały się parę tygodni wcześniej od wielkiego prania. Potem było suszenie, prasowanie, układanie, sprzątanie. Z siostrą Danusią buntowałyśmy się trochę przeciw tym szaleńczym porządkom, kochałyśmy jednak tę przedświąteczną atmosferę. Każdy miał przydzielone obowiązki - nawet maluchy porządkowały swoje zabawki, choć nie miały ich wiele: szmaciane lalki, książeczki, wycinanki, jakieś kolorowe kamyczki...

Na szczęście nie trzeba było szorować drewnianych podłóg. Zamalowane mahoniową farbą, zmywało się lekko i przykrywało wypranymi chodnikami. A potem wieszanie wykrochmalonych firan - okna lśniły, pachniało czystością i zaczynało się pieczenie ciast. Placków z powidłami, drożdżowych makowców (tata ucierał mak), kruchych ciastek na choinkę i pierników.

Niezapomniane zapachy i smaki. I właśnie piernik z przepisu mojej babci był świątecznym, najbardziej oczekiwanym ciastem w moim domu. To tzw. „piernik doskonały”. Równie smaczne były też inne wypieki - mama dbała, żebyśmy z siostrą pomagały ucząc się robić nie tylko ciasta, ale też piec smaczne mięsa i pasztety. Pasztet „wieloskładnikowy” jest do dziś specjalnością mojego domu, ale też inne tradycyjne dania - smażony i w galarecie karp, śledzie w śmietanie, oczywiście barszcz z uszkami i pyszna, słodka kutia.

Z niecierpliwością czekaliśmy na ten uroczysty wieczór, w przeddzień którego ojciec z braćmi szedł do pobliskiego lasu po choinkę. Osadzenie jej w stojaku i nakładanie anioła na czubku drzewka - to było zawsze domeną taty. Nie mieliśmy lampek, tylko prawdziwe świece i ozdoby robione przez nas z bibuły - pawie oczka, jeże, gwiazdki itp. Kilkaście ocalałych z rodzinnych stron bombek zdobiło piękną i dorodną jodłę. Nie było pod nią prezentów, gdyż wcześniej dość skromne przynosił 6 grudnia św. Mikołaj.

Dziś z nostalgią i tęsknotą wspominam nasz rodzinny wigilijny stół, dziadków, rodziców i naszą gromadkę - siostr

i braci. Po kolacji, właśnie ojciec pięknym głosem zaczynał: „Wśród nocnej ciszy...”. Kolędy rozbrzmiewały do czasu, gdy trzeba było iść na pasterkę. Były to dla nas ogromne, niezapomniane przeżycia. Wyjątkową chwilą było dzielenie się opłatkiem. Ze wzruszeniem wspominam, gdy tato podchodził z opłatkiem najpierw do swojej matki i ojca, a potem do mamy i po kolei do nas. Swoje córki, zawsze składając życzenia, całował w rękę. Bliskość, intymność i czułość.

Dzielenie się opłatkiem jest tradycją wyłącznie polską, ale już sam opłatek to przybysz z innych stron świata. Jego historia sięga panowania Karola Wielkiego. W Polsce opłatek upowszechnił się dopiero w XV wieku, gdy prawo wypiekania go otrzymały parafie. Wcześniej przysługiwało ono tylko klasztorom. Pieczono opłatki białe - dla ludzi i kolorowe dla zwierząt. Zgodnie bowiem z przyjętym zwyczajem gospo-



Fot. Kalim / stock.adobe.com

darz w wieczór wigilijny powinien podzielić się opłatkiem z bydłem w oborze i innymi zwierzętami w obejściu, aby je pobłogosławić.

Ten cienki arkusik ciasta upieczonego z mąki i wody traktowany jest do dziś z szacunkiem. Jest bowiem symbolem chleba, którym należy dzielić się z biednymi, ale też - dla wierzących symbolizuje Chrystusa, który narodził się w betlejemskiej stajence. Dlatego kładziemy go na sianku, albo w innej, godnej oprawie.

Czasami było żal, że nie wszystkie marzenia się spełniły, ale o wiele ważniejsze było, że spotkaliśmy się przy wspólnym stole i przeżyliśmy coś pięknego z naszymi bliskimi. Tak naprawdę - życie jest gromadzeniem w pamięci tych dobrych i szczęśliwych chwil. Jeżeli nie zapomnimy o tradycji, to może po latach nasze dzieci i wnuki też wspominać będą zaczarowane święta z dziecięcych lat?

Bogumiła Skomoroko, Słupsk

Cicha noc, święta noc



Najstarsza, najpiękniejsza i najbardziej znana na świecie kolęda „Cicha Noc” jest świadectwem narodów o wspólnych korzeniach w dziedzictwie chrześcijańskiej Europy

201 lat mija od powstania tej najbardziej znanej na świecie kolędy. Ta urokliwa kolęda, która oczarowała chrześcijańską Europę i jest śpiewana już niemal przez cały cywilizowany świat, powstała w języku niemieckim, związana jest z narodzeniem Chrystusa, śpiewana w gronie rodzinnym i w kościołach w okresie świąt Bożego Narodzenia.

W 1816 roku młody, pochodzący z Salzburga wikary Joseph Mohr, pełniący posługę duszpasterskie w alpejskiej wiosce Mariapfarr, napisał wzruszający wiersz, zaczynający się od słów „Cicha noc, święta noc”. Dwa lata później autor wiersza trafił do miasteczka Oberndorf, gdzie zaprzyjaźnił się z lokalnym nauczycielem i organistą, Franzem Xaverem Gruberem. W wieczór wigilijny 1818 roku, właśnie w Oberndorfie pod Salzburgiem, wspomniany wikary oraz organista zaśpiewali wspólnie napisany

przez wikarego wiersz. Organiście następnie powierzono zadanie napisania do niego melodii, a po raz pierwszy zaśpiewali go obaj na dwa głosy solowe i przy akompaniamencie gitary, w wigilijny wieczór, podczas pasterki w kościele św. Mikołaja w Oberndorfie.

Tak powstała kolęda, która ma już dwieście jeden lat. Od tamtego wydarzenia nastąpiło dalsze jej spopularyzowanie, na początku w krajach niemieckojęzycznych, a później także innych. Obecnie każdego roku kolędę „Cicha noc” śpiewają dwa miliardy wiernych na całym świecie w ponad 300 językach i dialektach. Są to imponujące liczby, świadczące o pełnym umiędzynarodowieniu tego utworu.

Kolęda „Cicha noc” stała się międzynarodowym dziedzictwem muzycznym i niematerialnym dorobkiem kulturowym ludzkości. W 2011 roku została wpisana na listę UNESCO i zdobyła status światowej pieśni pokoju. Śpiewamy ją w święta Bożego Narodzenia, nie tylko ku chwale Nowonarodzonego, ale także w przeświadczeniu, że... kto śpiewa ku chwale Boga, ten modli się podwójnie.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

JOSEPH MOHR
(1792-1848)

CICHA
NOC

*Cicha noc, święta noc!
Pokój niesie ludziom wszem,
a u żłobka Matka Święta
czuwa sama uśmiechnięta
nad Dzieciątką snem,
nad Dzieciątką snem.*

*Cicha noc, święta noc!
Pastuszkowie od swych trzód
biegną wielce zadziwieni
za anielskich głosem pieni,
gdzie się spełnił cud,
gdzie się spełnił cud.*

*Cicha noc, święta noc!
Narodzony Boży Syn,
Pan wielkiego majestatu
niesie dziś całemu światu
odkupienie win,
odkupienie win*

Był sobie cadyk...



Z dwudziestu czworga dzieci, które przeżyły wojnę niewiele wie, że zawdzięcza swoje życie zwykłemu krawcowi z Kielc. Sam Tewie Mastalerek po wojnie miał trochę mniej szczęścia, bowiem zginął 4 lipca 1946 roku podczas pogromu kieleckiego, zatluczony kopniakami na śmierć przez sąsiadów

Człowiek ten na pierwszy rzut oka był już stary i przygarbiony, lecz mimo to żwawo poruszał się po błotnistej nawierzchni obozowego placu, jakby znał tę drogę całe życie, a był tu zaledwie trzy lata. Jak muchy lgnące do zepsutego mięsa, chodziło za nim kilku młodych jajcybrzyńców z pejsami. Nieopierzonych gówniarzy udających inteligentów, zawieszonych gdzieś pomiędzy niebem a ziemią.

Pewnie do końca nie zdawali sobie sprawy, gdzie tak naprawdę są i co robią w świecie oderwanym od Mykwy i Synagogi. Dlatego też uczepili się kogoś, kogo inni nazywali cadykiem i zwracali się do niego: Rebe w nadziei na ratunek, na jakie takie przetrwanie. Bo tylko przy mężu świętym mogli przetrwać, ale znikali każdego dnia, a na ich miejsce pojawiali się nowi, równie naiwni i równie nieodpowiedzialni, co poprzednicy.

A jajcybrzyńckiem przecież nie mógł zostać każdy, choć każdy nosił przyrodzenie w portkach i studiował Torę i Talmud. To była specjalna kasta ludzi na usługach cadyka, który z rzadka na nich patrzył i również rzadko zabierał głos. Lecz oni krążyli wokół niego w nadziei, że udzieli im wskazówek: jak żyć w tych trudnych dniach, jak kochać, jak jeść podłe zarcie, i jak odnaleźć w sobie siłę, żeby móc rzucić się na druty, choć to wbrew religii.

Ten stareńki człowiek został cadykiem w jeden dzień, ba w jedną chwilę, nawet w jedną sekundę. Kiedy po raz trzeci stanął pod ścianą straceń i po raz kolejny darowa-

no mu życie. Już wtedy było wiadomo, że czuwa nad nim Bóg i ma wobec niego jakiś plan. Powody darowania mu życia też były różne. Pewnego razu komendant obozu zapomniał o ważnym spotkaniu w miasteczku, w którym właśnie rezydował jego przełożony, nijaki Oskar Wolcke i odwołał egzekucje. Kolejnym razem wyliczanka w czarne i białe go nie objęła, bo kilku esesmanów po bieli zębów i stanie zepsucia, kwalifikowało ich właściciela na śmierć. Trudno było mieć białe zęby w gnijącym od skorbutu miejscu. Cadyk miał szczęście. Także wtedy, kiedy trzech esesmanów na widok samolotu alianckiego, lecącego zbyt nisko narobiło w gacie i ogłoszono alarm.

Każdy znał prawdę o cadyku Tewie Mastalerku, lecz nie każdy wiedział, że jest on tak samo jak inni żywym trupem, cudem utrzymującym się na nogach. Tam, gdzie się pojawiał, towarzyszyła mu duma i czołobitność.

Każdy, nawet mała Esterka Szybelmaum chciała wiedzieć... co miał jej powiedzieć? Codziennie czuł swąd z komina. Nigdy nie był kimś ważnym. Był zwyczajnym krawcem, który nie uszył żadnego ubrania, lecz tylko reperował i reperował. Naszywał łaty, nicował i picował. Interes w rodzimych Kielcach kręcił się do momentu, kiedy ogłoszono wywózkę z miasta wszystkich Żydów. Cwany Mosiek Szarenwelc w lot wyczuł intencje Szwabów i wcześniej prysnął wraz z rodziną do Szwecji, a potem do Palestyny. On został, choć był już wtedy sam. Jakoś nie pasowało mu uciekać ze swojego.

Kiedy tylko wychodził z baraku na apel jajcybrzyncki już byli przy nim. Pojawiali się jak duchy w nadziei, że może dzisiaj, może w tej właśnie chwili usłyszą to jedno słowo prawdy, zinterpretują je po swojemu i ogłoszą to innym. Ale cadyk milczał. Czasem tylko przeganiał natrętów albo przystawał, żeby oddać moc. Znikał za obozową bramą na długie godziny, kiedy wracał był wyczerpany. Przynosił niekiedy odrobinę chleba i dawał małej Esterce. Ta tuliła okruszki w jeszcze mniejszych rączkach i uśmiechała się do cadyka.

Jajcybrzyncki krążyli wokół starca i wymieniali się na przodzie, nastawiając uszu, co ma do powiedzenia cadyk. On milczał, czasem tylko, gdy miał dobry humor, o który w tym miejscu było trudno, podśpiewywał sobie:

*Srały muchy będzie wiosna,
będzie równo trawka rosta
Srały muchy przyjdzie maj, zazieleni,
zaświergota i przykryje smutek i żal.
Srały muchy będzie raj tylko
ty mi Boże wolność daj
Wolność daj, wolność daj.*

Wtedy jeden z jajcybrzyncków gwał w te pędy do baraku i ogłaszał apokaliptyczną wizję końca ich życia w tym miejscu.

Tewie Mastalerek dla strażników obozowych był trendowaty. Nie dotykali go, ani na niego nie krzyczeli. Pozwalali spokojnie przejść do sortowni. O zastrzeleniu Mastalera również nie mogło być mowy. Nikt nie chciał sięgnąć osobistego nieszczęścia. Wśród strażników panowało przekonanie, że ktoś, kto trzykrotnie wywinął się śmierci jest osobą nawiedzoną i niewątpliwie przynoszącą nieszczęście. Również sam Tewie Mastalerek nie wystawiał na próbę wytrzymałości strażników i na wszelki wypadek schodził im z drogi. Natomiast wśród swoich pozostawał osobą świętą, bo kto trzykrotnie został obdarzony Bożą łaską, musiał być ulubieńcem Boga.

Mastalera okrzyknięto świętym mężem i przytknięto mu łatkę cadyka. Zwracano się do niego: Rebe. On nic nie robił sobie z wrzawy wokół jego osoby. To jeszcze bardziej stwarzało wokół niego nimb tajemniczości czy wręcz mistycyzmu. Przebywano w jego otoczeniu, dotykając go i modląc się o łaskę Bożą. Ale Bóg wyczerpał już chyba limit udzielania łask.

Mieszkańcy obozu znikali, a na ich miejsce pojawiali się następni. Któregoś dnia do obozu trafił sąsiad Mastalera - Teofil Murdecki. Przed wojną był uznanym lekarzem w Kielcach i samego Mastalera widział może raz lub dwa razy w życiu. Zajmował z rodziną pierwsze piętro kamienicy, gdy tymczasem Mastalerek z żoną i córeczką wilgotną suterynę,

Z tej wilgoci, stęchlizny i biedy zmarła mu żona i córeczka jeszcze przed wybuchem wojny.

Cadyk Mastalerek za zgodą komendanta obozu przeprowadzał dzieci do pracy w sortowni. Przekonał zastępcę komendanta, pyszałkowatego Waltera Krauze, że delikatne palce dzieci bardziej nadają się do przeszukiwania odzieży w odnajdywaniu zaszytego złota czy pieniędzy. Nikt, poza nim samym, nie znał chytryści jego planu.

Podczas pracy w sortowni zdołał odkryć pewne miejsce w drewnianej podłodze, przez które z łatwością mogło się przecisnąć dziecko. Dwie deski były nadgniłe, tworząc niewielki otwór. Zrzucił je starymi płaszczami. Ponieważ podłogę baraków od podłoża dzieliła półmetrowa przestrzeń stwarzało to dogodną możliwość ucieczki.

Nie wiadomo czy to wtedy Mastalerek powziął zamiar ratowania dzieci, w każdym bądź razie, to właśnie wtedy zaczął interesować się położeniem obozu. Zbierał wszelkie informacje bądź od samych więźniów, bądź od strażników obozowych. Znał język niemiecki i łowił każde słowo, które pomogłoby w określeniu położenia obozu. Już po dwóch tygodniach wiedział, że naokoło są lasy, a w odległości mniej więcej ośmiu kilometrów znajduje się wieś Poręba. Nie wszystkich więźniów przywożono w bydłowych wagonach, część trafiała do obozu drogą lądową i to właśnie z ich relacji Mastalerek ustalił, że jest to całkiem spora wieś. Z rozmów strażników dowiedział się także, że teren ten często jest miejscem dywersji niewielkich oddziałów partyzanckich.

Nie mając szczegółowego rozeznania terenu i absolutnej pewności, co do powodzenia swego planu, postanowił ratować dzieci, bo tylko gorszy los mógł ich spotkać za obozowy-



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

mi drutami. Mastalerek w przeddzień zaplanowanej ucieczki długo z dziećmi rozmawiał. Dzieci znikwały zawsze parami. Mastalerek bardziej liczył na łut szczęścia uciekających, niżeli na powodzenie swego ambitnego planu.

Jak okazało się po wyzwoleniu z meldunków oddziałów partyzanckich działających na terenach Świętokrzyskiego, uciekające dzieci przejmowali właśnie patrole partyzanckie. Później ustalono, że dwoje zaginęło i tylko w jednym przypadku odnaleziono chłopca i dziewczynkę zastrzelonych przez patrol niemiecki. Potem przy wydatnej współpracy okolicznego chłopstwa, kolejarzy i całkiem anonimowych ludzi,

wywożono je w bezpieczne miejsca, a następnie z reguły umieszczano przy kościołach i w zakonach.

Nikt nie zwracał uwagi na nieobecność dzieci w barakach. Ich śmiertelność była tak wysoka, że esesmami nie zaprzętały sobie nimi głowy. Z reguły nie posiadały rodziców i to paradoksalnie przyczyniło się do ich uratowania.

* * *

*Srały muchy na Goebbelsa, na Iwana i Winstona
Srały muchy na Lenina i Hitlera i Stalina
Odchodami znaczą raj.
Opuściła mnie nadzieja, zgniję tutaj Panie mój.
Trawa unet przykryje wszystko, nie zostanie żaden ślad.
I popiołem zgasi żal.
Srały muchy nam na wolność, urządziły sobie bal.
Tylko mi Ciebie Boże żal. Tylko mi Ciebie Boże żal.
Co zaśpiewasz o tych czasy, kiedy Ci konceptu brak
Co opowiesz naszym dzieciom, jaką kolejną zmyślisz bajkę
I dlaczego tu Cię brak, kiedy tak wierzymy w Ciebie.
Srały muchy będzie raj, tym razem już bez nas.*

Tak smętnie nucił ostatniej nocy w obozie cadyk na swojej pryzy otoczony kręgiem jajcybrzynków i tych z więźniów, którzy nawet nie mieli siły na życie. Następnego dnia zawyły syreny. Styczeń 1945 roku zimnem ścinał z nóg, w jego lodowatym oddechu zamarała nawet nadzieja. Dowództwo obozu na wieść o zbliżającej się armii radzieckiej zdecydowało pozbyć się więźniów w długim i wycieńczającym marszu. Wszystkich, którzy mogli się samodzielnie utrzymać na nogach, uformowano w kolumnę i w niesprzyjających pogodowych warunkach konwojowano w niewiadomym kierunku. Ludzie umierali z zimna i przenikającego wiatru. Ci, którzy stawali, byli rozstrzeliwani na miejscu. Kiedy Mastalerek odwrócił głowę na którąś z kolei serię z karabinu maszynowego, zobaczył trupy zalegające rowy po obu stronach drogi.

Mastalerek przeczuwał swój koniec i właśnie wtedy, w tej śnieżnej zawiei stanął przed żelazną skorupą czegoś, czego, uznał, że nie jest w stanie pokonać. Z wieżyczki posypały się słowa powitania w rodzaju: swotocz, sabaka prakliata. Wot durak pod maszynu lieziosz. Wot durak, wot durak prakliaty.

Trochę to trwało zanim Mastalerek zrozumiał, że ci z wieżyczki klną na niego i nawet nie miał sił, żeby się z tego cieszyć.

Już nie cadyk tylko zwykły Żyd Tewie Mastalerek wrócił do Kielc do sutereny i od progu przywitał go znajomy zapach. Nawet się nie dziwił, że tego śmierdzącego miejsca nie chcieli zająć Polacy. Piętro, które zajmował doktor z rodziną podzielono na dwa mieszkania, które teraz zajmowali repatrianci ze wschodu.

Gwoli ścisłości Tewie Mastalerek w rzeczywistości nosił pospolicie brzmiące nazwisko. Po powrocie zajął się tym, co umiał najlepiej, czyli nicowaniem ubrań. Że był to czas, w którym praktycznie nikt nic nie miał, nie brakowało mu pracy.

Teofil Murdecki również nazywał się inaczej i po wyzwoleniu obozu zamieszkał na Pomorzu w małym miasteczku, gdzie osiadł z nakazem pracy w kieszeni i pracował, pomimo podeszłego wieku, do swojej śmierci w roku 1970. Esterka Szybelmaum przeżyła wojnę i zamieszkała w Izraelu. To na jej wniosek i kilku jeszcze ocalałych ofiar holokaustu, cadyk Tewie Mastalerek pośmiertnie w roku 1993 został odznaczony przez izraelski Instytut Yad Vashem, medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata.

Z dwadzieściorga czworga dzieci, które przeżyły wojnę niewiele do dzisiaj wie, że zawdzięcza swoje życie zwykłemu krawcowi z Kielc. Sam Tewie Mastalerek po wojnie miał trochę mniej szczęścia, bowiem zginął 4 lipca 1946 roku podczas pogromu kieleckiego, zatłuczony kopniakami na śmierć przez sąsiadów. Nigdy prawda o nim nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie zapiski doktora Teofila Murdeckiego. Tworzył on po wyzwoleniu pamiętnik, gdzie cadykowi Mastalerkowi poświęcił kilkanaście stron. Potem jego syn Kazimierz redagował te wspomnienia i publikował pod własnym nazwiskiem w kilkunastu odcinkach w Kanadzie. Zamieszkał tam wraz z rodziną po roku 1968 i - jak podkreślał to z żalem w głosie - zaraz po wygnaniu go z Polski.

Doktor Murdecki stracił wszystkich bliskich w obozie i wielokrotnie powtarzał, że przetrwał tylko dzięki olbrzymiemu psychicznemu i fizycznemu wsparciu cadyka Tewie Mastalera. On również był przekonany do końca swoich dni, że miał do czynienia z żydowskim świętym mężem. Po przybyciu na Pomorze ożenił się po raz drugi z autochtonką, Niemką Reginą Bunholtz. Teofil Murdecki miał jeszcze córkę Monikę, która w 1969 roku opuściła Polskę i osiedliła się w Australii. Po wyjeździe zerwała wszelki kontakt z rodziną i krajem.

I tak, przeglądając kiedyś internetowe wydania polonijnej prasy, tą drogą dotarłem do tych materiałów i do mojego cichego bohatera. Reszta to moja literacka licencja poetica.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Worki myśli Grzegorza Chwieduka

**Worek szesnasty - Drzewa zasną
nawet w niebie**

*Samotność nie szczyrzy zębów,
chyba że jest szczęśliwa lub głupia.*

Na górze można poznać chamstwo wiatru. Z pierwszym promieniem słońca nigdy nie ma końca. Kontury świata zamazane przez głowę. W milczącym uniesieniu przeżyłem wizytację teściowej. Nikt nie ma zamiaru wymuszać na musze odlotowych w powietrzu piruetów. Gdyby nie kawa, mniej sławna byłaby ława. Witają w łóżku początek dnia i dają sobie niezły wycisk. Pozwalał sobie pewien żebrak na wszystko, bo nie miał nic do stracenia. Nie wybaczy zazdrosny sąsiad dacz i kłaczy. Uwielbiał nabiął, dlatego nabrał pełnych kształtów. Skazanie na rozpieszczanie słodkiego wnuka w rękach

dziadków. Nabroił tak wiele, że sąsiadka ma temat i językiem miele. Połączyła ich miłość do sztuki mięsa.

Tłumaczył się przed całym światem, a on nawet o tym nie wiedział. Pogoda pod psem nie podoba się kotu. Uważne spojrzenie wyprostowało jego sylwetkę. Mógłby kochać się ze ślicznotką czule nawet w mule przy mule. Spod jego krzacastych brwi już nie marsowe, a maślane spojrenie. Imytdo rozkłada na brudne od farby ręce. Kolorowe życie z szarością na starość. Wśród starszych są ludzie wiecznie młodzi. Często częstowany jestem słodkimi kłamstwami. Od kiedy został ojcem, nie ma czasu dla ojca. Uciekam w książki, by odnaleźć ludzi. Odżył w niej żal do zasranej śmierci. Ale pasztet, zostawił królika na pastwę losu i to na pastwisku największego wroga! Nie jestem pewien, czy odważny pewniej się czuje przy tchórze. Z potokiem słów nad morzem podrywać kobiety może mąż skazany w domu na straty. Mój pociąg do ciebie zatrzymał się całkiem niedawno. Rytm miłosnego wiersza

podobny do uderzeń serca. Stara kobieta za brudną szybą o nic się już nie stara. Po śmierci kopniętego ojca zaczął otrzymywać jeszcze więcej kopniaków od życia. Najpierw szczyty z góralką, jej niebotyczne wdzięki, a w końcu kopniak w dół i pasmo udreki. Proste pytanie i slalom z odpowiedzią.

Gdyby był znowu młody, to już by się tak nie staczał. Kiedy w domu wariatkowo i nazbyt kolorowo, już masz murowane kłopoty z głową. Przerwał studia po dogłębnym prze-studiowaniu swojej finansowej sytuacji. Schody w dół bogate w nałogi i destrukcję. Z matką można żyć i umierać. Jeden wielki horror nie załatwi kilku małych spraw. Zmęczony naturysta, bo odpoczywał nie sam na tonie natury. Faceci w sile wieku myślą szczególnie przy osiemnastkach o grzechu. Poorana bruzdami twarz potrafi się do wiersza przyłożyć.



plakat roku 1970

Czarno to widzę, gdy czerwona krew nie chce się uspokoić. Niewyraźna skrucha wyraźnie mi się nie podoba. Cień także potrzebuje słońca, bo bez niego nie ma w nim ani cienia cienia. Pomieszanie z poplątaniem przyniosło oklaskiwanie. Współczesny inteligent nie pasuje czasem do współczesności. Był tak zagubiony, że znalazł narkotyki. Postanowił żyć godnie, choć nie na bogato i mniej wygodnie. Uczciwie można kogoś doprowadzić do nędzy. Na przekór plotkarzom

i ich plotkom stał się nie grubą rybą, lecz płótką. Zapada głęboko w pamięć głęboka dziura. Urwanie głowy, gdy człowiek zdrowy biega i robi wszystko bez głowy. Przez wstrętne aluzje utracił wszelkie iluzje nieszczęśliwie zakochany iluzjonista. Wycofując się z biegu stałem się bardziej widoczny. Na pustyni przy braku wody odechciewa się łać wodę. Z nagiego ciała można zrobić skandal, a podłe wnętrza ominąć. Wierzył w dobro do czasu, kiedy dobrała się do jego dóbr niedobra kobieta, która okazała się matrymonialną oszustką. Kierował się sercem i znalazł się w ślepej uliczce. Niewinność czasem jest winna i powinna się zarumienić.

Ten poeta ocalił w sobie romantyzm, ale gdzie mu do Mickiewicza! Kawał czasu jest wtedy, gdy biegnie jak szalony. Od lat odlatują ptaki i przylatują wakacyjne wspomnienia. Samotność nie szczery zębów, chyba że jest szczęśliwa lub głupia. Mam za sobą mnóstwo zmarnowanego czasu. Nieudany związek może liczyć na banał. Za nieszczelnym oknem też najesz się nerwów. Nie ma pięćdziesiątki, a już mu bliżej do setki. Na chorobę zawsze można liczyć. Nie czuje się spokojnym przy zbyt spokojnym, nieruchawym mężu.

Mój dziadek powiedział kiedyś, że się przy mnie odmładza. W pustym pokoju można mieć pełno pomysłów. Łóżko ci prawdę o nas powie. Po zaśnięciu nie mam czasu na nudę. Pachniesz morzem, dlatego dla odmiany chcesz pojechać w góry. Mój dawny przyjaciel nie udaje teraz nawet kolegi. A więc mrok wieczoru wyczarował mi wczoraj wiersz. Liczył się z każdym groszem, w końcu się z nim policzyli i jego ciężki portfel leciutko opróżnili. To okna domów są od patrzenia. Zapada w pamięć padanie plackiem.

Zeszlóroczny śnieg pojawia się czasem na ludzkich ustach. W mieście bez wspomnień nie ma do czego powracać. Czas płynie i patrzy, jak się niektórzy topią. Miałem zaszczyt poznać kilka chodzących encyklopedii. Gałęziom drzew pasuje ptasi śpiew. Szron na głowie i na drzewie znakiem czasu. Arcydzieło działa na niego jak płachta na byka. Czystym patrzaniem rozebrała go na czynniki pierwsze. Sokolim wzrokiem załatwiła sobie staropanieństwo. Piłka odbija się pewnemu piłkarzowi czkawką. Zwiedził kawał świata ten kawał drania, który jest tylko od brania, a nie od dawania.

Taki z niego światowiec jak z makolągwy makowiec. Od sędziowskiego błędu do medialnego obłądu. Kiedy na ciebie patrzę, nie widzę żadnych wad. Drzewa rosną nawet w niebie. W małym cichym ogrodzie odgradził się od wielkich głośnych atrakcji. Stare czasy pomogły mu na nowo stanąć na nogi. Wszystkie strony nic nam nie mówią. Od chwaleń do ośmieszenia i cierpienia. Spotykam się z lasem jak z dobrym znajomym. Ściana świerków to wolność i zaproszenie. Mamy zaszczyt żyć i umierać?

W wojsku walczyłem ze swoimi kompleksami. Całkiem miał w nosie całki, ale nie całuski. Z siwą babcią było tak kolorowo. Brakujące zęby pozbawiły go uśmiechu. Już nie rozmienia się na drobne, odkał drobne fraszki pisze. Bez wkurzonej żony miałby sam kurz i święty spokój. W kolejce po szczęście wykoleił się niejedyn człowiek. Babcia dbała o dziadka, a on o sąsiadkę. Nie wszystko stracone, można mieć jeszcze drugą, trzecią albo nawet czwartą żonę. Znalazł kobietę, z którą znalazł wspólny język.

Gdy wszystko znajduje się na swoim miejscu, wtedy czasami jest miejsce na nudę. Babcine wino z dzikiej róży było moim alkoholowym pierwszym razem, daty premiery jednak nie pamiętam. Ciemnych myśli się nie wyrzekam, nawet

tych z jasnym piorunem. Często gęsto się tłumaczy, że tak rzadko matkę odwiedza. Słodka dziewczyna dla równowagi przeklinać zaczyna. Głównie przez gadające głowy telewizyjnego nerwowo. Zawsze po pierwszym tyku utwierdza się w przekonaniu, że warto dalej pić.

Szczególnie wczesną wiosną marzenia o ciepłku i pięknym kwiatku rosną.

Worek siedemnasty - Rozmyta ciemność już nas nie przestraszy

*Nad starym rynkiem gołębie pokazują
nam niebo. Wstaje świt, a ktoś
tam już w ogóle nie wstaje.*

Ostatnio nie boję się wielkiego psa, lecz spacerującej z nim wyszczekanej właścicielki. Zapach pod pachami to nie psychota. Zalanego człowieka złać to żadna sztuka. Roztopiony śnieg wtopił się w przedwiosenny pejzaż. Szary sweter podobno mniej się brudzi. Zakładał się w zakładzie, że schudnie, wygrał zakład, ale jak zakłada cokolwiek, wygląda paskudnie. Często gęsto się tłumaczy zakompleksiony tłumacz. Po dziurki w nosie mam zapchane w nocy dziurki w nosie. Babcia dawała mi do skarbonki swoje serce. Z przeszłością jest jak z nagością, nie sposób o niej zapomnieć. Teraźniejszość trzyma nas często na smyczy. Kościste palce babci kojarzą mi się z jej modlitwą. Wieształ się dowcipnie na wieszaku, aż raz zastąpił kurtkę na haku.

Boi się tego, że kiedyś przestanie bać się wszystkiego. Kolejny tomik wydaje i jej się wydaje, że jest prawdziwą poetką. Każdy moment jest dobry na dobre słowo. Kiedy już będę dziadkiem, poczuję wartość siwizny. Z niczego też rodzą się myśli. Przesuwasz na potem własną porażkę. Z człowiekiem bez przeszłości i bez przyszłości trudno o punkty zaczepienia. Zjawiła się tylko, by dać mu w pysk. Od popisów do podpisów. Inna historia a ten sam człowiek. Czekali na siebie całą wieczność, by teraz się wiecznie kąsać. Z padającym śniegiem trzeba się pogodzić. Nie chce zwykłego samochodu, chce niezwykłą hulajnogę.

Na odpieprz zmielił pieprz i mówi, że się o byle co żona przypieprza. Tak naładował akumulatory, aż go rozsadza i ma humory. Na zasypanych śniegiem drogach nastąpiła cisza błoga. W rozpaczliwych korkach niejednego kierowcę zamienia się w potworka. Nieznośne upały przybliżyły mnie do łaskawego chłodu. Nie do zniesienia jest facet bez jaj. Okna pokoju są czasem źródłem niepokoju. Podróżny zlanym światłem i potem wyśpi się potem. Strasznie ją złości brak litości dla starości. Koniec życia to już inna bajka. Wystawiona na słońce twarz raczej nie zmieni poglądów.

Ta młoda matka stara się jak może, a tamta stara już nie może. Karcie męża za karty karczemną awanturą. Z nieposłusznym dzieckiem najlepiej radzi sobie w kościele. Nocny marek bohaterem wiersza rannego ptaszka. Nieba w gębie, wielkie nieba, już niebawem u ciebie nieboraku nie będzie! Komórki i smartfony zabrały ludzi do innego świata. Niejednego traktuje sąsiada jak jakiegoś niebezpiecznego gada. Mgliste twoje obietnice dopasowały się do naszego spaceru we mgle. W mieście tętniącym życiem nabrał wreszcie spokoju.

Cieżar kopy lat wykopał kopaniem piłki. Albo rybka, albo pipka - dylematem zakochanego wędkarza? Siedzi na brzegu rzeki i płacze, bo nurza się w błocie. Pod bardzo starym dębem młodzią starą panną wygląda. Nasyca się głupotą innych ludzi, by nie zgłupieć. Ponętne ciało, a nikomu jeszcze nie dało. Przy słonecznym świetle niewykłuczone czarne myśli. Na jego głowie szron i leniwa żona. Zaszuszone starzec z żywą raną, przez tamten okrutny marzec.

W bursztynowej słonecznej aureoli może sobie blondyneczka na modły amantów pozwolić. Jak nisko trzeba upaść, żeby w bagnie głowę nosić wysoko! Miał szampańskie plany, lecz nie był pijany ze szczęścia. Dała nogę i znalazła swojego księcia. Długi tułów jakoś moją szwagierkę wyszczupla. Oddaje się marzeniom, ale one wcale go nie chcą. Wśród falujących cieni drzew już nie jest cieniem samego siebie. Ukołyszany zieloną ciszą nie biorę wszystkiego na serio. Piękna dziewczyna i brzydkie myśli pasują do siebie. Cichy oddech lasu zamienił mnie w skowronka.

Alkohol w jego głowie pisze mu przyszłość. Ze swoim bezbłędnie grubym brzuchem zalicza za skuchą skuchę. Nad starym rynkiem gołębie pokazują nam niebo. Wstaje świt, a ktoś tam już w ogóle nie wstaje. Czują na różowy blask poranka moja firanka. Codziennie rano wdzieram się zachłannie do piekarni i do serca żony. Dał plamę i nie był już taki święty. Twojej kolorowej sukience brakuje tylko figury.

Piękny dzień majowy, rozwodnik bez tamtej krowy do wiosennych łowów gotowy. Uciekł z miasta na wieś, to trzech piesków robota.

Cóż za krzepiąca pewność wody, że na mrozie zlodowacieje! Nic się nie zmienia w sprawie zasad smażenia się na plaży. Zajmuje należne sobie miejsce kapusta włoska przy brukselce. Znalazł w psie to, czego nie było w ludziach. Ma zdrowego męża z chorymi pomysłami. Skakanka potrzebuje rytmu. Był świadkiem mokrej roboty na suchym śniegu. Jej niewyparzony język wskazuje na procenty. Dumne niegdyś papierowe gazety przegrywają z internetem niestety. Los bałwana w rękach temperatury.

To się nie mieści w głowie, że głowę umieścił w cuchnącym rowie! Jego płacz nie nadaje się do upublicznienia. Ma kopę lat i kupę rat. Płacz bez ryzyka czyli bez tęż na scenie też jest. Wolę ruszyć się z miejsca, w którym nie ma dla mnie miejsca na jakikolwiek ruch. Ludzie mają tyle roboty, że cały czas nic nie widzą. Pocić się i ścisnąć dobrze jest i źle. Myślę też rymując, a nawet plotkując. „Szlachta nie pracuje” w necie przeczytałem i już człowieka częściowo poznałem. Świat zanurzony w kłamstwach mówi całą prawdę o ludziach. Rozmyta ciemność już nas nie przestraszy.

Siedzenie w knajpie nie musi być spadaniem w dół. W mojej sytuacji ktoś inny rzuciłby to pisanie w cholerę. Nie wiadomo jak i jest wytłumaczenie. Kwitnący wygląd służy za wabia. Kawał lenia i co w tym śmiesznego? Nie w sosie dwie Zosie przez piękną Gosię. Ze sflaczałym na sianie flejtuchem do rana dała sobie siana. W ciemności gęstej i lepkiej poculiśmy siebie najjaśniej. Unoszą się balony i nie wynoszą jak ludzie. Niektórzy chorują na wydawanie beznadziejnych wierszy. Nad wielkim miastem mała wieś może mieć przewagę.

Z byle powodu nie wrywam sobie włosów. W dzieciństwie nie najadłem się wstydu. Przyciskanie mojego serca do serca babci skutkowało na przykład sernikiem. Niby głupia koza, a zna się na wozach nadzianych facetów. Zimny świat sprawcą gnicia w łóżku. Wreszcie usłyszał, kogo ma nie słuchać. Siedzi beczynnie, bo nie może się przeciw zrozerwać. Jest tak szczęśliwy, że nie potrafi tego sobie wyobrazić. Brzydula gładziła go po policzku, co było dla przystojniaka policzkiem. Wata cukrowa zamknęła dziecku buzię. W bajecznie niebieskiej koszulce chłopiec zapragnął być diabłem. Słońce ukrywa się za chmurami, ale nie usuwa się w cień. Skąpany w słońcu dom krzyczy i błaga o remont.

**Grzegorz Chwieduk
Kępcie**

„Worki myśli” Grzegorza Chwieduka ukazały się w formie książkowej w Wydawnictwie KryWaj z Koszalinu. Książka w miękkiej oprawie, pod takim samym tytułem zawiera dwadzieścia jeden worków myśli tego autora pomieszczone na 92 stronach. (z)

Moje zbliżenia z muzyką



Ucieszyłam się bardzo, gdy dostałam zaproszenie na pierwszy koncert symfoniczny mojej kuzynki - będącej już panią magister i noszącą nazwisko po mężu - Lidii Daukszą

Pierwszy koncert, w którym uczestniczyłam jako słuchaczka. Podczas którego mogłam poczuć się ważna nie tylko dla Lidki, ale i jej otoczenia. Koncert, który zapamiętałam także z przyczyn poznawczych, gdyż naocznie mogłam zacząć rozróżniać wiolonczelę i skrzypce. I podczas którego upadło moje wcześniejsze przekonanie, że to wszystko co ze smykiem to są skrzypce, różnią ich jedynie rozmiary.

Do filharmonii udałam się wraz z kuzynami: Tadeuszem i Julkiem. Przekonanie, że na koncert należy się wystroić, nie było niczym szczególnym, panuje do dzisiaj. Zatem nie mogłam postąpić inaczej. Wystroiłam się w kloszową sukienkę w białe grochy na granatowym tle. Była nowa, bardzo ładna, a dostałam ją od mojej mamy Janki na przeprosiny, że... tak długo przetrzymała mnie w niewiedzy, iż jest tylko moją przybraną matką. Sukienka miała biały kołnierzyk i mankietiki przy bufiastych rękawach.

Pamiętam, że bardzo podobałam się w niej nie tylko wtedy, podczas tej uroczystej gali muzycznej, ale także później, zawsze gdy z jakiejś szczególnej okazji mogłam w nią wskoczyć i oglądać się w lustrze, utwierdzając przy tym w przekonaniu, że prawiący mi komplementy mówią prawdę.

Lidia urodziła się w 1939 roku w Gdyni. Nigdy nie miała okazji poznać rodzinnego domu z uwagi na wybuch II wojny światowej. We wrześniu 1939 miała zaledwie cztery miesiące, a jej rodzina została wysiedlona do Lublina, gdzie zamieszkała aż do wyzwolenia. Koleje losu wyznaczyły jej potem drogę do Szczecina, gdzie rodzice osiedlili się na stałe.

Pomysły jej matki, a mojej ciotki Jadwigi zawsze były spontaniczne i szalone, a zarazem bardzo odważne. Kiedy pakowali się, by wrócić, jak to się mówiło na stare śmieci, w ręce wpadła jej porcelanowa lalka mocno nadszarpięta przez czas i zawieruchy wojenne. Lalka miała wykręcaną główkę, do której wciśnięto uratowane podczas zawieruchy wojennej finanse i resztki złotej biżuterii. Niepozorna laleczka dziarsko przemyciła wszystko, co jej powierzono, dzięki czemu rodzice Lidki mogli potem otworzyć swój sklep z artykułami kolonialnymi i zająć się handlem.

Interes rozwijałyby się dobrze, gdyby nie to, że w ciągu dwóch lat sklepik został obrabowany wielokrotnie przez sowieckich żołnierzy, którzy zawsze podjeżdżali dużym samochodem pancernym i z bronią w ręku ustawiali właścicieli, jak i ich rodziny pod ścianą budynku. Rabowali wszystko, ogafaćcając go do pustych półek i szafek.

Po dwóch latach, gdy zabrakło pieniędzy na nowy towar, sytuacja stała się bez wyjścia i rodzice Lidki sklep musieli zlikwidować. Jej ojciec - Zygmunt znalazł pracę jako cieśla przy odbudowie szczecińskiego zamku oraz zamku Świętego Jakuba.

W szczecińskim domu tej muzycznej rodziny zagościły na stałe fortepian Bechstein i pianino. Niemiecka nauczycielka o smutnej zawsze twarzy wydawała się dzieciom jeszcze bardziej brzydka, niż była naprawdę. Jej widoczna awersja do całego świata, a szczególnie do swoich uczniów, była zapewne



Fot. MITO SettembreMusica / wikipedia.org

przyczyną, iż czyniła lekcje długimi i nudnymi. Wiele więcej, jak „Oh, mein liebe Augustin” oraz parę innych piosenek i ćwiczeń ze szkoły Bayera, z jej warsztatu nie wyszło. Uczennice Zosia i młodsza od niej Lidzia wpadły na pomysł, aby stłuc szybkę w budziku, w zacynym celu przestawiania wskazówek zegara, kiedy Frau odwrócona była do nich tyłem, co niekiedy pomagało im trochę skrócić czas lekcyjnej udręki.

Cała ta historia z budzikiem i okropną nauczycielką na szczęście nie zdołała obrzydzić dziewczynkom muzyki. Wkrótce wytoniła się dla nich nowa szansa uczenia się w pierwszej prywatnej szkole muzycznej pani Durnasiowej. Podziękowano niemieckiej nauczycielce za prywatne lekcje i rodzice zapisali córki do jej szkoły. Niejako w „posagu” rodzina Możejewskich wniosła też do niej w prezencie pianino.

Minęło kilka tygodni, kiedy któregoś dnia na ulicy Gorkiego zjawili się jacyś obcy ludzie z uzbrojoną obstawą i pismem urzędowym. Rozmawiali po rosyjsku. - Rekwiruję meble! - ten, który im przewodził, oznajmił złowrogo. Jego ludzie odbili wszystkie nogi fortepianu Bechstein, żeby wywlec go z górnego pokoju po schodach na ulicę i ustawić obok innych mebli w samochodzie. Dzieci patrzyły na ich ukochany instrument i głośno płakały. Na nic zdały się prośby i lamenty, że grają rodzinnie i bez instrumentu nie będzie już możliwości muzykowania, i ćwiczenia się w muzyce.

Ród Grzeszczaków zamiłowanie do muzyki i śpiewu miał zakodowane w swoim D N A. Dziadek Andrzej Grzeszczak grał na kornecie i śpiewał partie solowe w chórze kościoła „Gwiazda Morska” w Gdyni, a jego siostra grała na skrzypcach w kinie filmów niemych w Łodzi.

Lidia rozpoczęła naukę w szkole muzycznej przy alei Wojska Polskiego, w klasie fortepianu. Dodatkowe ćwiczenia odbywała w szkole lub u sąsiadów.

Rodzina była liczna, każdy miał swoje obowiązki i do takich należało, aby mała Lidka asystowała młodszemu od niej bratu w ćwiczeniach gry na skrzypcach wczesnym rankiem, kiedy dzieci szły do szkoły. Jej zadaniem było wystukiwanie taktu i pomaganie w wytrwaniu braciszкови w tym mozolnym zmaganiu się ze smykem i instrumentem.

Tadeuszka skrzypczki były małe, takie jak on sam, ale rosły wraz z nim przez długie lata i kiedy skończył studia, był to już kontrabas w Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Na kontrabasie grał potem w Operze Poznańskiej, a następnie został koncertmistrzem w Filharmonii Szczecińskiej.

Kolejny brat - Maciej, z tej licznej rodziny, wybrał również „muzyczną drogę”. Maciek uczył się gry na klarnecie i saksofonie. Ukończył szkołę muzyczną i został solistą zespołu rozrywkowego w Berlinie Wschodnim, potem w Finlandii, Szwecji i w końcu w Ameryce, gdzie ożenił się i osiadł na stałe.

Lidia w latach 1958-1960 ukończyła Studium Nauczycielskie, kierunek muzyczny, aby dalej kontynuować naukę w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie. Okres ten wspomina w swoich pamiętnikach, jako najwspanialszy w jej życiu. Wspomniana uczelnia mieściła się w Alejach Ujazdowskich, wychowała i oddała światu kultury muzycznej wielu słynnych muzyków, między innymi Fryderyka Chopina.

Nauka w szkole muzycznej otworzyła przed nią nowy świat i wręcz zaczarowany okres w jej życiu. Punktem kulminacyjnym były uroczystości 150-lecia Akademii Muzycznej, w których wzięli udział wybitni jej absolwenci. W międzyczasie, kiedy wielu słynnych muzyków zjechało się z całego świata, Lidia wystąpiła w chórze uczelni na estradzie Filharmonii Narodowej. Była bardzo szczęśliwa, po prostu - jak wspominała w swoim pamiętniku - wniebowzięta. Przysłowiową do tego wisienką na torcie był na zakończenie wielki bal w salach filharmonii, z udziałem tych wszystkich znakomitości.

Lidia, jak i wszystkie dzieci z tej rodziny, mogły liczyć tylko i jedynie na siebie. Aby piąć się coraz wyżej po szczeblach kariery, musiały same się utrzymywać. Dlatego w Warszawie, obok studiów, podjęła pracę w szkole podstawowej jako

nauczycielka wychowania muzycznego i chóru, prowadziła też rytmikę w czterech przedszkolach. Poza tym, w zamian za udzielanie korepetycji „radiowym” solistom i dzieciom z grupy p. Marii Cukierówny, mogła być prywatną słuchaczką i brać udział w jej słynnych lekcjach improwizacji, akompaniamentu i rytmiki w średniej Szkole Muzycznej w Warszawskich Łazienkach.

Koncert dyplomowy Lidii Daukszy, w którym wzięłam udział, był dla rodziny, jak i dla niej samej, wielkim, wspaniałym przeżyciem. Utwory a kapella z udziałem Szczecińskich Słowików, a potem Requiem Mocarta z chórem politechniki i orkiestrą Filharmonii Szczecińskiej były prawdziwą ucztą muzyczną. Siedziałam zauroczona i pełna podziwu dla swej kuzynki. Gdy słuchałam Lacrimosa, udzielał mi się jej nastrój odpowiadający ładunkiem emocjonalnym nie tylko osobowości Lidki, ale i mojej.

Lidka w tym okresie została sama z malutką córeczką Małgosią, mąż pozostawił ją, poświęcając się całkowicie karierze naukowej. Walczyła dosłownie o przeżycie, a ja... byłam w tym czasie nieprzytomnie zakochana w chłopaku, który zawładnął moim sercem, ale zupełnie nie pasował do mojego spokojnego charakteru. Moja miłość kłóciła się z rozsądkiem.

Na zakończenie koncertu Lidka dostała masę kwiatów i gratulacji. Widownia oklaskiwała ją na stojąco, owacje trwały kilka minut. Ten wielki jej sukces zaważył potem na jej karierze muzycznej i dalszym życiu. Tylko ona pamięta jednak, że wieczorem, kiedy po koncercie została sama, przyszło jej wylać morze łez, i z powodu szczęścia, jakie ją spotkało, i... przykrości, jakich doznała z braku wsparcia ze strony męża. Nie wiedziałam o tym, dowiadując się tych szczegółów dopiero po latach z jej pamiętnika. A szkoda, bo mogłyśmy wiele sobie wzajemnie doradzić. Ja, pełna emocji muzycznych, wróciłam zaraz po koncercie pociągami do domu z postanowieniem, że dam szansę miłości do muzyki i literatury pięknej. Życie potoczyło się jednak inaczej, pozostały mi dla nich jedynie podziw i szacunek.

Zofia Smalewska, Bąkowo

Jesienne czytanie wierszy

W Gminnej Bibliotece Publicznej w Kobylnicy, 21 listopada odbyła się VII Biesiada Literacka „Czytajmy Poezję” z Turniejem Jednego Wiersza. Wydarzenie połączone z recitalem Pawła Ruskowskiego

W Turnieju Jednego Wiersza jury po wysłuchaniu dwudziestu jeden prezentacji konkursowych postanowiło przyznać pierwsze miejsce Małgorzacie Wątor za wiersz pt. „Mycie uczuć”, drugie - Barbarze Nibelskiej za wiersz pt. „Letnia noc”, a trzecie - Andrzejowi Szczepanikowi za wiersz pt. „Dziękczynność wyśpiewana”. Wyróżnienie otrzymał Andrzej Waszkiewicz za wiersz pt. „Spokoju chichot”.

Nagroda specjalna wójta gminy Kobylnica Leszka Kulińskiego powędrowała do Grzegorza Chwieduka ze Słupska za wiersz pt. „Po co ten pośpiech”, publiczność nagrodziła Elżbietę Szwałę za wiersz pt. „Mamusi”.

Biesiadę zorganizowała Gminna Biblioteka Publiczna w Kobylnicy, współorganizatorem było Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku. Prezentowane w turnieju wiersze oceniali: Katarzyna Nazaruk z Portugalii, Maria Partyka ze Słupska i Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubskiej. (MS)



Fot. J. Maziejuk